STEFAN KRZYWOSZEWSKI.

ROZSTAJE

SZTUKA W 3 AKTACH.

NAKŁAD I DRUK TOW. AKC. S. ORGELBRANDA SYNÓW.
SKŁADY GŁÓWNE: E. WENDE I SPÓŁKA, WARSZAWA,
H. ALTENBERG, G. SEYFARTH, E. WENDE I S-KA, LWÓW.

ROZSTAJE

STEFAN KRZYWOSZEWSKI

ROZSTAJE

SZTUKA W 3 AKTACH

SKŁADY GŁÓWNE:
E. WENDE 1 SPÓŁKA, WARSZAWA,
H. ALTENBERG, G. SEYFARTH, E. WENDE I S-KA
LWÓW.

NAKŁAD I DRUK ZAKŁ. GRAF. TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S-ÓW.

OSOBY:

KRABE.
MATYLDA, jego córka.
WALER JA WĘGIELSKA.
ADAM, jej syn.
FRANIA, jego żona
JÓZIA, córka Waleryi.
Dr. BORKIEWICZ.
STEFAN BORKIEWICZ, jego bratanek.
CIEŚLAK.
ZAWORSKI.
CZERSKA.
KAZIO, jej syn.
KORZYCKI.
RÓŻA WIŃSKA.
Hr. LEŃSKI.
WALENTY, lokaj Krabego.
SŁUŻĄCA.

Pierwszy i trzeci akt dzieją się w mieszkaniu Waleryi Węgielskiej, drugi—w mieszkaniu Krabego.

AKT I.

Mieszczański pokój „bawialny“ w dawnym stylu. Meble mahoniowe z połowy zeszłego stulecia, serwantka, w której, za szybą, świecą barwne porcelany i szlifowane szkła, stary fortepian o pożółkłych klawiszach, konsola z lustrem, zegar empirowy pod kloszem, na ścianach trochę portretów, sztychów. Przy oknach kwiaty i klatka z kanarkiem. Drzwi do przedpokoju z lewej strony, dwoje drzwi w głębi. Z prawej strony przy oknie stolik, przy nim, na krzesełku, siedzi Frania, przed nią kajet i kałamarz; opodal Walerya Węgielska w staroświeckim fotelu o wysokiej poręczy, ubrana czarno, na białych włosach koronka; nałożyła na nos okulary, w ręku trzyma książkę.

SCENA I.

WALERYA—FRANIA.

WALERYA (czyta).

„Panna Emilia była zachwycająca; lecz jej krewna była ubrana bardzo niezgrabnie, wedle swego chwalebnego zwyczaju. Stanowiły one doskonałą sprzeczność."

FRANIA (zaaferowana, z bardzo wyraźnym akcentem nadwiślańskim).

Mademoiselle Emilie était ravissante; mais sa cousine... zaraz...

WALERYA (podpowiada).

Była ubrana...

FRANIA.

.... était habillée.

WALERYA.

Non, pas ça...

FRANIA (przypomniała sobie, i z tryumfem, prędko recytuje).

Mais sa cousine était fagotée selon sa louable coutume... (Za oknem, na podwórzu, poczyna grać katarynka, odrywając cokolwiek uwagę doletniej uczennicy). Elles formaient... formaient...

WALERYA (j. w.)

...un contraste parfait...

FRANIA (z nagłem zniechęceniem).

Ja się nigdy nie nauczę!... Jeszcze ta katarynka!...

WALERYA (z pobłażliwym uśmiechem).

Zamknij okno.

FRANIA.

Kiedy ja tak lubię tego walca... (Po chwili, dając upust myślom, które kołyszą się w jej główce). Mama sobie wyobraża zdumienie Adama?... Panna Krabe przychodzi do nas... Zaczyna mówić po francuzku. I wtedy ja mieszam się

do konwersacyi, powiem coś tak zgrabnie, dowcipnie,—jak w rozmówkach pani Bocąuel (wskazała książkę). Co Adam wtedy powie?...

WALERYA (j. w.).

Powinienby zamienić się w słup soli. Czy sądzisz, że jemu tak szczególnie imponuje paryski akcent?...

FRANIA.

Nie... ja przecież wiem, że Adam... Ale panie wszystkie mówią po francusku. Gdy się umie, nikt na to nie zwraca uwagi. Jeśli się nie umie... Panna Krabe odzywa się wtedy do mnie po polsku, i ja czuje odrazu, że jestem z innego świata,... małą szwaczką, do której mówi się,—z którą się nie rozmawia.

WALERYA.

Przesadzasz!...

FRANIA (posmutniała).

Nie... Albo Adam wogóle rozmawia kiedy ze mną o swoich sprawach? Tak, jak z mamą... albo z Józią?... (wstała). Czasem w nocy, gdy sen nie przychodzi, wyobrażam sobie, że Adam jest w niebezpieczeństwie, i, aby go ocalić, ja się poświęcam. Mnie uderza kula, i on widzi, że nikt nigdy...

WALERYA (przyciąga ją i całuje w czoło).

Dzieciaku!...

FRANIA.

Potem okazuje się, że rana nie była śmiertelna

i wracam do zdrowia. (Całuje Walery? w rękę). Ja tylko mamie śmiem to wszystko powiedzieć... Mama była dla mnie zawsze dobra... od samego początku. (Z pewną naiwnością). Ja czasem nawet tego nie mogę pojąć. Przecież mama nie mogła pragnąć dla Adama taki ej żony, jak ja?

WALERYA (poważniej).

Adam rnusiał postąpić, jak mu nakazywał obowiązek. Kto zaciąga dług, winien go spłacić.

FRANIA (opuszcza głowę).

Tak... (usiadła, chwila milczenia).

SCENA II.

WALERYA-FRANIA-JÓZIA—MATYLDA.

(Drzwiami od przedpokoju wchodzą szybko Józia i Matylda. Józia trzyma w ręku pęk róż).

JÓZIA.

Patrz, mateczko, co za róże! Przy Matyldzie trzeba strzedz się każdego słowa! Poszłyśmy razem w Aleje...

MATYLDA (pocałowała Waleryę w rękę).

Papa zauważył, że pan sekretarz (wzrokiem wskazała Józię) jest nieco blady, a że papa wprost zastanawiająco dba o zdrowie swego sekretarza, więc polecił mi wyprowadzić go na przechadzkę...

JÓZIA (przerywa).

Pokazuję na wystawę sklepową: Jakie piękne

róże! A ona już w sklepie i wciska mi do rąk cały pęk... aż mię pokłuła! (śmieją się). I teraz obgaduje!

(Frania, przywitawszy się ceremonialnie z Matyldą,, usuwa skrzętnie na bok książkę i kajet).

WALERYA (wącha kwiaty).

Pani nas psuje.

MATYLDA (zauważyła ruch Frani).

Co pani robiła? Jakaś poważna praca?...

FRANIA (zmieszana).

Nie... ja tylko tak...

WALERYA (pobłażliwie).

Tajemnica!

MATYLDA (postrzega w oknie klatkę z kanarkiem).

Och! kanarek! (do Józi, z wyrzutem). Wstydź się!

JÓZIA (śmieje się).

To ziszczone wreszcie marzenie Frani.

MATYLDA (do Frani).

Jak można lubić ptaki w klatce! Ptak powinien być wolny. Wtedy tylko jest piękny (Uderzona niespodzianą myślą). Niech pani go puści. Okno otwarte.

FRANIA (instynktownie zasłania klatkę).

Nie... nie... wróble by go zadziobały...

MATYLDA (zraziła się do niej i zwraca się do Waleryi).

Pana Adama niema?

[UJ

FRANIA.

Adam piszę w swoim pokoju.

MATYLDA (ruszyła ku drzwiom w głębi).

Można zajrzeć?

FRANIA (żywo).

On pewnie rozebrany. (Naiwnie). Jemu zawsze gorąco, gdy piszę.

WALERYA (z łagodnym wyrzutem).

Te szczegóły nie interesują panny Matyldy..

MATYLDA (zwróciła się z powrotem do stolika, i otwiera książkę, którą Frania zostawiła).

Rozmówki pani Bocąuel? (rozbawiona). Pani się uczy po francusku?

FRANIA (zawstydzona).

Proszę pani, ja dawniej nie miałam sposobności...

(Wchodzi Adam).

SCENA III.

CIŻ—ADAM.

ADAM (wita się z Matyldą).

Usłyszałem głos pani... (postrzega w ręku Józi kwiaty). Jakie piękne róże! (wącha lubieżnie).

JÓZIA.

Od Matyldy.

(Walerya porozumiała się cicho z Franią, która zabrała kajet i książkę i obie wychodzą drzwiami w głębi).

SCENA IV.

AD AM—JÓZIA—MAT YLD A.

MATYLDA.

Pan lubi kwiaty?

ADAM.

Bardzo.

MATYLDA.

To dobrze.

ADAM.

Dla czego?

MATYLDA (z uśmiechem nieco wyzywającym).

Bo kto lubi kwiaty, ten lubi i kobiety.

JÓZIA.

Wstydź się, mówisz o kobietach, jak gdyby celem ich życia było podobanie się tym potworom.

MATYLDA.

Naturalnie. Ja niczego więcej nie pragnę.

ADAM.

Wszystkim i każdemu?

MATYLDA (j. w.).

Może jednemu...

JÓZIA.

Jest taki jeden. Z Paryża jedzie, by pannę Krabe poznać.

MATYLDA.

Teraz ona plotkuje. Skoro chce, niech jedzie. Trzeba czasem zrobić coś dla ojca.

JÓZIA.

Pan Krabe czyni wszystko podług twej woli.

ADAM.

Ja znam dość dobrze Stefana Borkiewicza. Gdy mieszkałem w Paryżu, spotykaliśmy się często.

JÓZIA.

Jak wygląda?

MATYLDA.

Zbałamuciła mi ojca, teraz knuje zamach na pretendenta. Zabiję cię!

JÓZIA.

To już ja wprzód ciebie! (całują się). Idę uczciwie napoić swoje kwiaty (do Matyldy). Nie zdejmiesz kapelusza?

MATYLDA.

Nie. Ojciec zaraz po mnie wstąpi.

(Józia wychodzi drzwiami w głębi).

SCENA V.

MATYLDA - ADAM.

MATYLDA.

Ojciec jest na pana bardzo zły.

ADAM (dość obojętnie).

Tak?

MATYLDA.

Za ostatnie artykuły przeciw panu Czerskiemu.

ADAM.

Nie było w nich nic przeciw panu Krabemu.

MATYLDA.

Papa solidaryzuje się zawsze z panem Czerskim...

ADAM.

To jest właśnie przykre, bo my z panem Czerskim musimy prowadzić walkę do upadłego. (Łagodniej). Piszę tak, jak mi każę sumienie.

MATYLDA.

Czy pan może być zupełnie pewnym swojej słuszności, swojej prawdy?

ADAM.

Gdybym utracił wiarę, zszedłbym z pola.

MATYLDA.

Chciałabym znać wszystkie pana myśli.

ADAM.

Nie zajęłyby panią. Nie są interesujące. Chodzą zbyt prostemi drogami.

MATYLDA.

Nie zna pan takich myśli, które tają się gdzieś, w zaułkach duszy, których człowiek się lęka, czasem wstydzi, a jednak są mu drogie,—choć nieziszczalne,—może dlatego właśnie, że nieziszczalne?... I człowiek boi się wymówić je głośno, bo wtedy nabrałyby mocy, rozpostar-

łyby skrzydła, pociągnęłyby duszę... i ciało... tam, gdzie nie trzeba... nie można!...

ADAM.

U wrót, wiodących do głębin sumienia, stoi surowy anioł z mieczem płomienistym, i bezlitośnie obcina skrzydła tym myślom, odrzuca je precz.

MATYLDA (namiętnie).

Nie można zgasić pragnień, do których każdy ma prawo.

ADAM (objął ją wzrokiem i z uśmiechem).

Świętym trzeba być, aby się oprzeć pokusom, które mówią usta pani... i oczy.

MATYLDA (zalotnie).

Pan potrafi być świętym?

ADAM (ciągnie dalej z rosnącą melancholią).

...albo żołnierzem, kroczącym szarą, kamienistą drogą, któremu nie wolno oglądać się na białe pałace, wabiące świeżą zielenią ogrodów i słodką muzyką fontan...

MATYLDA (smutniej).

Pan jest tym żołnierzem?...

ADAM.

Gdy pobudka wydzwoni odpoczynek i znużone członki legną na rozpalonych kamieniach, wyobraźnia snuje marzenia o szczęściu pięknem i rozkosznem, o zaczarowanej księżniczce, która wyciąga dłonie i wiedzie przez cie-

niste aleje, a magnolie sypią pod stopy pachnące, różowe kwiaty...

MATYLDA.

W żołnierzu tkwi poeta!

ADAM.

I wnet ciszę rozedrze dźwięk trąbki,—ciężki tornister na plecy, karabin na ramię,—w drogę żołnierzu, prosto przed siebie! Nie dla ciebie marmury pałaców i odurzające wonie kwiatów! W ostatniem spojrzeniu złóż swoje tęsknoty i pragnienia,—i naprzód, marsz!

MATYLDA (zbliżyła się doń, i wpatrzona w jego oczy, mówi zdławionym od wzruszenia głosem).

A jeśli zaczarowana księżniczka stanie u wylotu alei,—przy ogrodowej furcie i zawoła: — Żołnierzu! Zostań! Księżniczka żyć bez ciebie nie może!

ADAM (zmieszany, cofa się).

Panno Matyldo!

MATYLDA (j. w.).

I gdy on nie posłucha, zarzuci mu ramiona na szyję, usta zbliży do jego ust i powie: (zarzuca szybkim ruchem ramiona na jego szyję, usta przychyla do jego warg i nieomal w pocałunku szepce) Kocham!

(Krótka chwila milczenia, poczem Matylda odrywa się nagle od Adama i szybko drzwiami do przedpokoju wybiega. Adam, odurzony, zostaje przez moment na miejscu, dłonią pociera nerwowym ruchem czoło).

SCENA VI.

ADAM—JÓZIA—FRANIA.

(Wchodzi Józia, trzymając w ręku wazonik z różami, za nią Frania).

JÓZIA (obejrzała się i z pewnem zdziwieniem).

A Matylda?

ADAM (przytomniejąc).

Zdaje się, Że poszła (postąpił ku drzwiom, wiodącym ku przedpokoju i spojrzał). Tak jest. Poszła.

FRANIA.

Chciałam właśnie pożegnać się.

JÓZIA (ustawiając kwiaty).

Ona jest nieobliczalna. Nigdy nie wiadomo, co i gdzie ją poniesie. (Do Adama). Możeś ją uraził?

ADAM (wzrusza ramionami).

Nie.

FRANIA.

Ja uważam, że to nie jest grzecznie odchodzić tak... bez pożegnania...

ADAM (niecierpliwie).

Moja droga, nie powinnaś nigdy dawać lekcyi dobrego wychowania.

(Frania, dotknięta, odchodzi do okna).

SCENA VII.

CIŻ — CIEŚLAK.

(Cieślak w podszarzanym surducie, w ruchach niezbyt zręczny ani swobodny, wchodzi, zostawiając drzwi od przedpokoju otwarte).

CIEŚLAK (wita się).

Spotkałem w bramie pannę Krabe. Była bardzo roztargniona. Zdjąłem kapelusz, chcąc ją powitać, a ona, mijaj-ąc prędko, rzekła: Przepraszam, nie mam drobnych! (Józia śmieje się). Wiem, że na hrabiego nie wyglądam, ten fakt jednak budzi we mnie pewne obawy co do świeżości mojego ubrania i wogóle co do wytworności mojego zewnętrznego ja...

JÓZIA (przygląda się z uśmiechem jego odzieży).

Czemuż pan wrócił do starego tużurka? W zeszłym tygodniu podziwialiśmy nowy garnitur...

CIEŚLAK.

Ba! Pani myśli, że to tak łatwo utrzymać tytuł własności nowego garnituru. Zaraz na drugi dzień potem przychodzi do mnie pewien kolega. Nigdy nie mogłem się dowiedzieć, kiedy i gdzie z nim kolegowałem, ale mówi mi: ty — z taką swobodą, że niepodobna go zapytać. Powiada: Dostałem nareszcie posadę. Będę wykładał literaturę polską w nowej szkole. Mam dziś przedstawić się dyrektorowi. Niech no kolega pożyczy mi swego surduta, bo nie mam jeszcze porządnej gardero-

by, a burżuj-dyrektor gotów zaraz niższą cenę postawić, gdy się zjawię obdarty. Żal mi było rozstawać się z nowym tużurkiem, lecz odmówić było trudno. Kolega zresztą tak był pewny przysługi, że pod paltotem miał tylko kamizelkę. Poszedł tedy w moim nowym tużurku... i jeszcze nie wrócił.

JÓZIA (śmieje się).

Został pan wywłaszczony.

CIEŚLAK (do Adama).

Czemuż to znakomity publicysta taki smętny... niczem zięć bankierski?... (spojrzał na Franię). I czcigodna małżonka jakoś nie w humorze?... Sceny małżeńskie i klatka z kanarkiem! Jak przystało sytym i wstrętnym filistrom! (do Frani). Niechże pani wypuści tego ptaka! (robi ruch ku oknu).

FRANIA (przestraszona, zasłania klatkę).

Nie, nie. On ślicznie śpiewa.

CIEŚLAK.

Ptaki i ludzie powinni być wolni.

FRANIA.

Proszę pana, cóż mnie z tego przyjdzie, jeśli ten kanarek będzie śpiewać gdzieś daleko?...

CIEŚLAK (odwraca się do Józi).

Egoizm klasowy wżarł się w krew. I dopóty nie będzie lepiej, dopóki nie upuści się tej zepsutej krwi.

JÓZIA (śmieje się).

Pan skazuje na śmierć Franię!

CIEŚLAK.

Niech pani się nie śmieje. By uzdrowić ludzkość, trzeba wyciąć wrzody, nabrzmiałe odwiecznem samolubstwem. Inaczej zaraza rozchodzi się po całym organizmie.

JÓZIA (j. w.).

Straszny człowiek! Czy mnie pan daruje życie?

CIEŚLAK (objął ją rozrzewnionem spojrzeniem).

Pani? W świątyniach, gdzie lud będzie rozmyślał i uczył się, bóstwo dobroci będzie miało postać pani!

(Frania, dotknięta nieco, że się nią nie zajmują, wychodzi drzwiami w głębi).

JÓZIA (daje Cieślakowi rękę do pocałowania).

Odetchnęłam. Bo już czułam na szyi nóż gilotyny.

CIEŚLAK (ciszej do Józi, wskazując wzrokiem Adama).

Co jemu jest?

JÓZIA (tak samo).

Nie wiem. Przed chwilą był w dobrym humorze.

ADAM (odczuł, że o nim rozmawiają).

Czy wiesz, o co chodzi Zaworskiemu? Telefonował, że ma pilny i ważny interes.

CIEŚLAK.

Wiem. Umówiłem się z nim tutaj. Nie warto zaczynać o tem mówić, skoro niedługo ma przyjść.

(W przedpokoju słychać dzwonek).

ADAM.

Ktoś dzwoni.

JÓZIA.

Pewno pan Krabe przychodzi po Matyldę. (Widząc niezdecydowany ruch Adama). Zobaczę... (idzie żywo do drzwi i zagląda). Tak...

(Wychodzi do przedpokoju, skąd dochodzą odgłosy powitań).

CIEŚLAK (do Adama).

Wybaczysz, że spróbuję zachować incognito... (Odwraca szybko wysoki fotel przy oknie poręczą do widzów, i sadowi się w nim).

SCENA VIII.

CIŻ—KRABE—BORKIEWICZ.

KRABE (tęgi mężczyzna, o silnych rumieńcach na twarzy i nieco krzywych nogąch, spodnie trochę za jasne, żakiet trochę za krótki, kwiat w butonierce cokolwiek za duży,—wychodzi z przedpokoju wraz z Józią, przepuszczając przed sobą doktora Borkiewicza).

Gdy doktór dowiedział się, że idę tutaj po Matyldę, żaraz ofiarował się, że także wstąpi. Ten starzec śmie się kochać w mamie pani.

Dr BORKIEWICZ (ruchliwy staruszek z białą bródką; mimo binokli, bardzo mało widzi).

W tem jeszcze nie byłoby nic zdrożnego... (wpadł na Adama, coniebądź się przestraszył, ale wnet rozpoznał). A, pan Adam! (ściska go serdecznie za rękę, Krabe wita się z nim również). Pana prezesa posądzają o mniej stosowne dla jego wieku afekty.

KRABE (do Józi).

Słyszy pani? Dla nich niema nic świętego... Gdzie Matylda?

JÓZIA.

Poszła.

KRABE.

Z tą dziewczyną nikt nie trafi do ładu. (Do doktora). Chyba ten twój paryżanin. Ja nie dam sobie z nią rady.

BORKIEWICZ (zbliżył się do Józi nieco za blizko)

Wie pani, już jedzie. Lada dzień będzie w Warszawie... (Zmiana tonu). A mama?

JÓZIA.

Zaraz jej powiem.

(Wychodzi drzwiami w głąb).

KRABE (do Adama).

Nigdy nie zapomnę naszego poznania. Byłem wtedy w uniwersytecie. Ojciec mówi: Pójdziesz ze mną na kolej powitać przyjaciela, który powraca z Syberyi, po piętnastu latach... (do Borkiewicza). Kto jeszcze na dworcu był?

BORKIEWICZ.

Ja byłem.

KRABE.

Gdy pociąg stanął, pani Walerya wyszła pierwsza. A za rękę trzymała paroletnie bobo, otulone w futra i pledy... (objął go wzrokiem). Pan ładnie wyrósł.

BORKIEWICZ.

Miał zawsze zostać taki mały?

KRABE.

A teraz to bobo jest naszym wrogiem, prowadzi przeciw nam kampanię...

ADAM (łagodnie).

Panie Krabe, ja walczę nie z panami, lecz z polityką pana Czerskiego, której pan ma słabość ulegać. To są rzeczy zgoła odmienne.

KRABE (bierze Adama za guzik).

Wierzaj mi pan, my nie mniej od was kochamy Polskę, ale kto miał przed oczyma tyle nieszczęść, tyle bólu!...

ADAM (j. w.).

Kto nie ma odwagi do walki o lepszą przyszłość, winien zejść z pola, nie zaś osłabiać ducha walczących.

KRABE (j. w.).

A ja panu mówię: dobrze jest, jak jest, bo mogłoby być gorzej.

(Z za fotela odzywa się suchy śmiech Cieślaka, skrzypiący, jak źle nasmarowane koło. Krabe i Borkiewicz oglądają się zdziwieni).

CIEŚLAK (wysuwa się z za poręczy).

To ja się tak cieszę, że jest dobrze, gdy mogłoby być gorzej.

ADAM.

Panowie pozwolą przedstawić sobie... mój przyjaciel Cieślak... Pan Krabe, doktór Borkiewicz.

(Chłodne ukłony).

KRABE (zmierzył go nieufnem spojrzeniem).

Pan zdaje się był u mnie raz z delegacyą robotników?

CIEŚLAK.

Tak... i pan nie chciał ze mną mówić, jako z nienależącym do personelu fabrycznego.

KRABE (do Adama).

Pańska akcya już taki odniosła skutek, że Czerskiemu lekarze kazali wyjechać do Karlsbadu.

CIEŚLAK (z ironicznym współczuciem).

Biedaczek!

KRABE (wyniośle).

Co pan mówi?

CIEŚLAK.

Jeden z moich przyjaciół, zasłużony pedagog, nabawił się choroby piersiowej w więzieniu.

Leży od zimy w malej izdebce cuchnącego domu na przedmieściu, czekając, co go prędzej zeźre: suchoty czy głód?

KRABE.

I cóż to ma wspólnego?

CIEŚLAK.

Wątroba pana Czerskiego w lepszych kuruje się warunkach.

BORKIEWICZ (podchodzi do Cieślaka).

Niech pan powie nazwisko swego przyjaciela. Może mógłbym pomódz...

CIEŚLAK (twardo).

On panów pomocy nie przyjmie.

KRABE (chłodno).

Nie widzę możności porozumienia między nami.

(Wchodzi Walerya i Józia, Krabe i Borkiewicz postępują żywo ku nim).

CIEŚLAK (pod nosem).

Ani ja...

SCENA IX.

CIŻ—WALERYA—JÓZIA.

WALERYA (serdeczna).

Witam panów! (do Krabego). Dzień dobry. (Do Borkiewicza). Dawno pana nie widziałam..

(Krabe odłącza się nieco na bok z Józią, Adam rozmawia z Cieślakiem, który również ucałował panią Waleryę w rękę).

BORKIEWICZ.

Nie mogłem oprzeć się pokusie, gdy Krabe powiedział mi, dokąd idzie... (podnosi palec do szkieł). Dopóki mogę jeszcze panią widzieć...

WALERYA.

Znowu gorzkie myśli?

BORKIEWICZ.

Chwila, kiedy zrobi się dokoła mnie ciemno, zbliża się. Czuję, jak nadchodzi... Nieubłagany, wieczny mrok..., gdy świat jest taki piękny!

WALERYA (ciepło).

Wstydź się pan, poddawać się urojeniom...

BORKIEWICZ (głęboko).

To nie urojenia!... (Weselej). Ale wie pani? Mój bratanek już jedzie. Może panna Matylda zdoła zatrzymać go w Warszawie,... niechby zajął miejsce, które ja wkrótce będę rnusiał opuścić...

WALERYA (smutniej).

Czy raczej on jej nie przekona, że tam, w Paryżu, żyje się lepiej i łatwiej (do Krabego, który właśnie, opowiadając coś żywo Józi, giestykuluje i śmieje się). Pan zawsze młody, pełen ochoty do życia.

KRABE (z miejsca, wskazując na Adama).

Chcą mi ją gwałtem odebrać.
(Adam uśmiechnął się, wzruszając z lekka ramionami).

WALERYA.

Adam ma dla pana wiele szacunku!

BORKIEWICZ (bierze pod ramię Waleryę).

On rwie się do nowego życia, nie zdając sobie sprawy, że przeszłość tkwi w nas nierozdzielnie i odrzucić jej niepodobna. To, co umarło, żyje w nas, droga pani, jak my żyć będziemy w przyszłych pokoleniach. Nas wzruszały przeżycia ojców, ich wzruszać będzie ta pieśń, która nam grała (zlekka prowadzi ją w stronę fortepianu). Pamięta pani ów wieczór zimowy... wSnochowicach... przed laty?... Bose sanie czekały za drzewami, miały nas o północy wieść hen... w lasy świętokrzyskie... Było nas pięciu: mąż pani, stary Krabe, dwaj Jacewicze... Mówiliśmy mało... pani najmniej. Na moją prośbę usiadłaś pani przy fortepianie i półgłosem zanuciłaś piosnkę...

WALERYA (otworzyła klawiaturę i jedną ręką zaczyna grać mazurka: „Bywaj dziewczę zdrowe, ojczyzna mię woła, Idę za kraj walczyć wśród rodaków koła“).

Tę?...

(Krabe i Józia zamilkli, patrząc na nich, tak samo Adam i Cieślak).

BORKIEWICZ.

Na powierzchni gonią się fale, przewalają, sy-

czą... Tylko na powierzchni! W głębinach duszy pamięć o tem, co było, łączy się z tęsknotą za tem, co musi przyjść... Nienawiść nie jest niczem więcej, jak chorobliwym stanem miłości!

(W przedpokoju odzywa się dzwonek).

ADAM (nerwowo).

To do mnie!

(Idzie do przedpokoju).

WALERYA (spojrzała nań, poczem zwraca się do Krabego i Borkiewicza).

Nie chcecie panowie przejść do mego pokoju? Dam wam herbaty...

BORKIEWICZ (skwapliwie, całując ją w rękę).

Dobrze!

KRABE (do Józi).

Pani dotrzyma nam towarzystwa?

JÓZIA.

Oczywiście!

(Wszyscy, prócz Cieślaka, wychodzą. On zaś goni zawistnym wzrokiem Krabego, który nadskakuje Józi)

SCENA X.

CIEŚLAK—ADAM—ZAWORSKI.

ADAM (wyprowadza z przedpokoju Zaworskiego).

Proszę... Przejdziemy do mego pokoju, tam będziemy mogli mówić spokojnie. (Idzie do drzwi, zaj-

rżał i cofa się niezadowolony). Nie sprzątnięte jeszcze.

ZAWORSKI (przywitał się z Cieślakiem).

Nic nie szkodzi.

ADAM.

Nie, nie... Możemy tu zostać. Powiem, żeby nikt nie przeszkadzał.

(Wychodzi drzwiami w głębi z prawej strony).

SCENA XI.

ZAWORSKI—CIEŚLAK.

ZAWORSKI.

Mówiliście?

CIEŚLAK.

Nie. Tutaj są Krabe i stary Borkiewicz.

ZAWORSKI (skrzywił się).

A!... Nie rozumiem tej przyjaźni.

(Adam wraca i zamyka za sobą starannie drzwi).

SCENA XII.

CIŻ I ADAM.

ADAM.

Siadajcie... (zasiadają przy stole).

ZAWORSKI (położył rękę na ramieniu Adama i śmieje się cichym, złośliwym śmiechem).

Mamy go!

ADAM.

Kogo?

ZAWORSKI.

Czerskiego.

(Patrzy w oczy Adama, śmiejąc się cicho).

ADAM (poruszony).

Jakim sposobem?

ZAWORSKI.

Odnaleźliśmy achillesową piętę tej nowoczesnej podpory społeczeństwa, tego bożyszcza dosytych żołądków (wyjmuje z pugilaresu papiery). Słyszeliście o zapisie Bilskiego?

ADAM.

Przeznaczył cały majątek, wynoszący około 250 tysięcy rubli, na szkoły.

ZAWORSKI.

Lękając się trudności natury urzędowej, sumę tę *formalnie,* zapisał Marcinowi Czerskiemu. W kodycylu, który nie miał być ujawnionym, nałożył na Czerskiego obowiązek użycia jej na fundusz szkolny. Czerski jednak z tej sumy zatrzymał sto tysięcy rubli... dla siebie. (Śmieje się cicho).

ADAM.

Nie może być!

ZAWORSKI (potrząsa papierami).

Tu są dowody... kopia kodycylu, wykaz sum wypłaconych.

ADAM.

Czyż w tem nie tkwi jakieś nieporozumienie!
Czerski ma opinię człowieka uczciwego!

CIEŚLAK (gwałtownie).

Ty wierzysz w ich uczciwość? Bronić wyzysku, uprawniać krzywdę, lizać łapy mocniejszych, gasić światło, gdzie tylko błyśnie mocniejszym płomieniem,—to uczciwość?

ADAM.

Ja mówię o uczciwości osobistej. Niepodobna każdego człowieka, który ma odmienne przekonania, uważać za oszusta i łotra. Dla doktora Borkiewicza mam szczery szacunek, chociaż...

ZAWORSKI (przerywa ironicznie).

Dla Krabego również?

ADAM.

Ojciec Krabego, tak samo jak doktór Borkiewicz, szedł razem z ojcem moim na armaty Czengierego.

ZAWORSKI.

Kto nie chce być grabarzem teraźniejszości, musi potrafić zapomnieć o przeszłości. Inaczej przestanie wierzyć w samego siebie.

ADAM (z odcieniem melancholii).

Jesteście szczęśliwsi odemnie, że macie ten dar zapominania.

ZAWORSKI (bierze za ramię Adama, mówi cicho a wnikliwie).

Wyście jeszcze nie objęli doniosłości sprawy. Jeśli główny wódz okaże się przeniewiercą, to czemże będą jego towarzysze? (śmieje się, jak poprzednio). Wspólnikami lub baranami. Trzeba uderzyć, jak grom. Zatargać trzewiami! Wy to potraficie.

ADAM (zachwiany).

Należy przedewszystkiem zbadać dowody. (Przegląda papiery, wzięte od Zaworskiego).

ZAWORSKI (zniecierpliwiony, wstaje).

Ja was doprawdy nie rozumiem! Waszego wahania i waszych skrupułów. Niejaki pan Hamlet chciał także czynić dobro, a sprawiał zawsze i wszędzie zło. Jakto, jest sposobność zadania przeciwnikowi śmiertelnego ciosu, i wy się wzdragacie?

CIEŚLAK (żywo).

Czyż my to robimy dla względów osobistych? Cóż mię obchodzi pan Czerski i jego kompanioni! Mnie obchodzą tylko nasze idee, nasze hasła, — które poczną tryumfować wówczas, gdy te, które uważamy za zgubne, utracą wiarę.

ZAWORSKI.

Czyżby wasze prywatne stosunki z Borkiewiczem i Krabem były tego rodzaju?...

ADAM (przerywa, zmierzywszy go śmiałem spojrzeniem).

Wiecie, że nie.

CIEŚLAK (jak poprzednio).

Cały ich gmach fałszu wstrząśnie się od piorunów twego słowa! He! ho! przodownicy narodu! Świeczniki społeczeństwa! Niech tylko zdarzy się okazya podkarmić własny, tłusty brzuch!

ZAWORSKI.

Pan Czerski przemawia zawsze z rękami w kieszeniach (śmieje się swoim cichym i złośliwym śmiechem). Gdy schodzi z trybuny, sięga do kieszeni innych.

ADAM (odkłada papiery).

Niesłychane!

CIEŚLAK.

Możeż być gorsza zbrodnia, jak kradzież grosza publicznego? Z jednej strony nędzarze, głodni nauki, daremnie wyciągają ręce ku szkole... rozpacz rodziców, przed których dziećmi nieopłacona szkoła zamyka drzwi... Z drugiej — cyniczna żądza bogactw, chciwość, nie cofająca się przed niczem... To ci nic nie mówi?

ADAM.

Nie wyłamuj drzwi otwartych. Jeśli tak jest, jak mówicie, znajdę moc piorunów. Uderzę

z taką potęgą, że nawet skamieniałe w egoizmie i apatii sumienia poruszą się i krzykną z bólu. Lecz dajcie mi pewność... dajcie mi pewność, że tak jest!...

ZAWORSKI (kładzie rękę na piersiach).

Czyż te dowody nie starczą?

ADAM.

Można polegać na ich ścisłości?

ZAWORSKI.

Bezwarunkowo.

ADAM (patrzy mu w oczy).

I wy... wy wierzycie, że Czerski to uczyniłt

ZAWORSKI.

Możeż być wątpliwość?

ADAM.

Daj ecie rękę? (wyciągnął dłoń).

ZAWORSKI (na sekundę zawahał się, — podaję rękę).

...Tak!

ADAM (zdecydowany).

Ha, to pogadamy, panie Czerski! Niech wszystkie względy odpadną! Niech pióro stanie się ostrzem szpady, niech sprawiedliwy gniew zamieni się w burzę, sarkazm niech nasiąknie jadem trucizny!

ZAWORSKI.

Strzeżcie się złodzieja!

ADAM (podchwytuje).

„Strzeżcie się złodzieja!“ Tak nazwiemy nasze wystąpienie!

Zasłona spada.

KONIEC AKTU I-go.

AKT II.

Gabinet Krabego. Wielkie biurko, na którern stoi także telefon, meble angielskie, wyściełane, — duży stół sesyonalny, zielonem suknem przykryty, na ścianach parę większych cennych obrazów. W głębi dwoje oszklonych, szerokich drzwi, wiodących na ogród. Z lewej strony drzwi do przedpokoju, z prawej do dalszych salonów.

SCENA I.

MATYLDA—WALENTY.

(Przez chwilę na scenie sam Walenty, w kamizelce kolorowej i fartuchu domowym,—w pozycyi wyczekującej).

MATYLDA (wchodzi szybko z prawej strony i rozgląda się).

Gdzież panna Józefa?

WALETY.

To nie panna Józefa. Ta pani powiedziała: Proszę zapytać, czy panna Matylda może przyjąć panią Węgielską.

MATYLDA (w kątach ust przemknęło zdziwienie).

Niech Walenty poprosi... (spojrzała na duży, stojący zegar w kącie). Ojciec pojechał konno?

WALENTY.

Pewno jeszcze nie zaraz wróci.

(Wychodzi i po chwili wprowadza Franię, która mimo wczesnego ranka już uważała za stosowne ubrać się w niezbyt gustowną suknię jedwabną).

SCENA II.

FRANIA—MATYLDA.

FRANIA (pomieszana i onieśmielona).

Pani wybaczy, że tak wcześnie... (wita się). Odprowadziłam Józię do biura, i... chociaż przedtem nie myślałam wcale... (urywa). Może pani poświęcić mi chwilę czasu?

MATYLDA (objęła ją niespokojnym wzrokiem).

Proszę panią... Nie stało się przecież nic złego?

FRANIA.

Nie... ja chciałam z panią pomówić w pewnej... w mojej własnej sprawie. Lecz pragnęłabym, aby nikt nie wiedział, że ja tu byłam...

MATYLDA.

Nawet pan Adam?

FRANIA (żywo).

Zwłaszcza on! Przychodzę do pani, (z lekkim

naciskiem) jak kobieta do kobiety... Czy mogę liczyć?

MATYLDA (uśmiecha się cokolwiek ironicznie).

Oczywiście. Niech pani siada (siadają). Czem mogę służyć?

FRANIA (zmieszana).

Pani nie będzie się gniewać?... to tak trudno powiedzieć... Przed chwilą wydawało mi się zupełnie łatwem, teraz nie mogę znaleźć słów...

MATYLDA (dość obojętnie).

Proszę, niech się pani uspokoi...

(Chwila milczenia).

FRANIA (z pochyloną głową, nie patrząc na Matyldę).

Pani zna moją przeszłość... Byłam szwaczką. Pracowałam w wielkim magazynie... Poznałam Adama, gdy był na ostatnim kursie prawa... Pokochałam go... (ciszej). Zostałam jego kochanką... Nie myślałam, co z tego będzie. Było mi wszystko jedno...

MATYLDA (przez zęby).

Tak.

FRANIA.

Przyszło dziecko... Dowiedziała się o wszystkiem matka Adama... Ja przedtem, proszę pani, nigdy z nikim... nigdy!

MATYLDA (j. w.).

Tak.

FRANIA.

Nie rachowałam na małżeństwo, nie marzyłam nawet... Pani Walerya przyszła do mnie. Zaopiekowała się... I potem Adam ożenił się ze mną... Ja się bałam, że nie będę dla niego odpowiednią żoną... Lecz jeszcze więcej lękałam się utracić go... Proszę pani... ja byłam na świecie sama. Stara ciotka, co mię wychowała, umarła dawno... I chodziło o dziecko... Czyż mogłam odrzucić takie szczęście?

MATYLDA (z ukrytą intencyą).

Kochając pana Adama, musiała pani zadać sobie pytanie: czy on będzie szczęśliwym?

FRANIA.

To pytanie dręczyło mię najsilniej. Miałam obawy, wątpliwości... Ale myślałam, że jego nikt więcej odemnie kochać nie będzie. Cóż ja miałam zrobić, proszę pani?... (po chwili). Potem dziecko umarło...

MATYLDA (twardziej).

Nie moją rzeczą wydawać sąd o tem, co było. Tembardziej, że—pojmuje pani—tego rodzaju kolizye są mi cokolwiek obce...

FRANIA (bez złośliwości).

Pani urodziła się i wychowała w szczęśliwych warunkach. Nie potrzebowała pani walczyć o byt, ma pani ojca, wielki majątek, stanowisko... Każdym krokiem pani opiekowano się czule... Ja byłam zostawiona sama sobie!...

MATYLDA (z odcieniem niecierpliwości).

Z tego wszystkiego jednak nie widzę, w czem mogę być pani użyteczną.

FRANIA (patrzy na nią bezradnie i razem żałośnie).

Pani nie rozumie?

MATYLDA (twardo).

Nie.

FRANIA.

Ja mam tylko jego! Do pani życie śmieje się jasnem słońcem! (po chwili, z odwagą rozpaczy nieomal). Niech pani mi go nie zabiera!

MATYLDA (wstaje obrażona).

Co to ma znaczyć?

FRANIA (przerażona).

Nie chciałam pani urazić. W tem przecież niema nic złego... Cóż byłoby w tem dziwnego, gdyby Adam... Czy ja mogę równać się z panią? Pani ma wszystko, co może się podobać, ująć, podbić... Ja, przy pani, jestem taka mała... szara... Jedno nic! Pani może mieć wszystko, co zechce! Ja mam tylko jego jednego! Gdyby mię rzucił... jedno nic!

MATYLDA (chłodno).

Łaskawa pani! Mimo najszczerszych chęci nie umiem zdać sobie sprawy, co upoważnia panią do wypowiadania przedemną tych... obaw.

Możeby pani zechciała wytłomaczyć się dokładniej...

FRANIA.

Kiedy ja, proszę pani, nie potrafię!... Ja tylko czuję, że tak jest... że między Adamem a mną ktoś stanął i rozdziela nas, że rozdział ten rośnie... że lada chwila mogę utracić go na zawsze!

MATYLDA (rozumiejąc swoją przewagę, przybiera ton nieco życzliwszy).

Właściwie powinnabym przerwać tak rozpoczętą rozmowę. Ale przypuszczam, że pani dała się... ponieść zdenerwowaniu, którego wspomnienie będzie później samej pani przykrem. I skoro raz już weszłyśmy na drogę tego rodzaju zwierzeń, możemy... zastanowić się nad źródłem pani niepokojów. Pani sama postrzega, że pan Adam nie może być z nią szczęśliwy, i—kochając go—doznaje pani pewnych skrupułów. Aczkolwiek moja osoba nie wchodzi tutaj zgoła w grę, jeśli pani chce, na tym gruncie mogę przyjąć dalszą rozmowę...

FRANIA (skwapliwie).

Tak!...

MATYLDA.

Jedno pytanie tylko: czy pani może się czuć szczęśliwą z człowiekiem, którego pani kocha, jeśli pani wie o tem, że on nie jest z nią szczęśliwy?

FRANIA (strapiona).

Ja nie wiem...

MATYLDA (coraz pewniejsza siebie).

Jakto, pani nie wie? Prawdziwa miłość pragnie przedewszystkiem szczęścia dla osoby kochanej. Inaczej byłaby nadto... interesowną.

FRANIA.

Interesowną?

MATYLDA.

Proszę pani, zapomnijmy o tej... nieuzasadnionej pretensyi do mnie, którą można brać tylko jako reminiscencyę dawnych... obyczajów... (Gest Frani). Nie, nie, mnie to nie mogło obrazić..., rozmawiamy teraz, według pani wyrażenia, jak kobieta z kobietą... Oczywiście, nie mam żadnego doświadczenia... Lecz wydaje mi się, że prawdziwa miłość polega przedewszystkiem na zdolności do ofiar i poświęceń na rzecz osoby kochanej. Mogę ci dać szczęście? Jestem. Mam być ci przeszkodą do szczęścia? Usuwam się.

FRANIA (ogłuszona).

Jakto?

MATYLDA.

Innemi słowy: czy miłość daje prawo do unieszczęśliwiania osoby kochanej? Szczególna byłaby to miłość!

FRANIA.

Jego nikt nigdy nie będzie kochał tak, jak ja!

MATYLDA.

Być może. Choć zapewnienie tego rodzaju nie może być decydującem... Lecz jeśli właśnie to kochanie... ta miłość złamie mu życie, uczyni nieszczęśliwym?

FRANIA (łzy w głosie).

Więc cóż ja mam zrobić?

MATYLDA.

Nie mogę pani radzić. Sama zapewne wiedziałabym, co uczynić. Narzucać się, być łańcuchem, budzącym wreszcie wstręt i nienawiść!... bo i tak może się skończyć! Wołałabym umrzeć!

FRANIA (bardzo smutna).

Pani słowa brzmią okrutnie... jak wyrok śmierci.

MATYLDA (nieszczerze).

Niezupełnie rozumiem, o co w tej chwili pani chodzi.

FRANIA (zamyślona).

Tak... (chwila milczenia, poczem kłania się jej). Przepraszam panią... (idzie ku drzwiom naprawo)

MATYLDA (nie ruszając się z miejsca).

To nie tędy.

FRANIA (zmieszana, zawraca się).

Przepraszam... (idzie ku drzwiom na lewo, zatrzymuje się). Pani nie powie o tej rozmowie?

MATYLDA (j. w.).

Komu?

FRANIA (j. w.).

Przepraszam.

(Kłania się raz jeszcze i wychodzi).

SCENA III.

MATYLDA—KRABE.

(Matylda sama na scenie, pogrążona w myślach).

KRABE (wchodzi drzwiami od ogrodu, ubrany do konnej jazdy, w sztylpach skórzanych, przy butonierce kwiatek).

Dzień dobry! Już ubrana?...

MATYLDA (wzdrygnęła się, przelękniona jego głosem, idzie żywo ku niemu i całuje w oba policzki).

Przestraszyłeś mię!

KRABE.

Podobno była u ciebie jakaś pani?

MATYLDA (po króciutkiej chwili wahania).

Szwaczka! (uśmiechnęła się do niewypowiedzianej myśli). Pokaż się! (ogląda go od stóp do głowy) Ojczulku! Jestem o ciebie zazdrosna. Wyglądasz, jak countrie-lord angielski. Piękne panie musiały ci sypać po drodze oko!

KRABE (zadowolony z komplementu).

Właśnie mi w głowie piękne panie! Przy tych kłopotach! Dziś sąd honorowy w sprawie

Czerskiego,—i dotąd od niego żadnych dowodów! Telegrafował z Karlsbadu, że żona doręczy mi dokumenty. Pisałem do niej. Żadnej odpowiedzi. Człowiek nie dość ma własnych zmartwień (poszukał na biurku dzwonka elektrycznego, nacisnął go), jeszcze mu na głowę spadają cudze...

MATYLDA.

Nie trzeba się tak przejmować.

(W drzwiach od przedpokoju staje Walenty).

KRABE (do służącego).

Śniadanie (Walenty znika). Ja nigdy niczem nie przejmuję się więcej, niż należy. Ale te ostatnie napaści na Czerskiego są oburzające. Oburzające! Ładny gagatek, ten wasz Węgielski!

MATYLDA.

Jakto, *wasz?*

KRABE.

No, twój i Józi. Wiesz, ona chce rzucić posadę. Mówi, że wobec stosunków, jakie zapanowały między mną a bratem, jej stanowisko uczyniło się niemożliwem. (Poufnie). Tyś z nią mówiła?

MATYLDA.

Nie.

KRABE.

Słuchaj, żebyś ty ją tutaj poprosiła?

MATYLDA (uśmiecha się i chce iść do aparatu telefonicznego).

Zatelefonuję.

(Walenty wnosi śniadanie i ustawia na stoliku).

KRABE (prosi).

Przejdź lepiej do biura i powiedz sama... Ona jest teraz taka drażliwa...

MATYLDA (śmieje się na dobre).

Ojczulku! Ty chcesz się jej pokazać w sztylpach!

KRABE (niekontent, że został odgadnięty).

Tobie zawsze w głowie... tego! (Gest).

MATYLDA (j. w.).

Idę!

(Wychodzi).

SCENA IV.

KRABE—WALENTY.

KRABE (zasiadł przy stoliku i poczyna smacznie pożywać śniadanie).

Nikt nie telefonował?

WALENTY.

Owszem... już dwa razy... jakaś pani.

KRABE.

Powiedziała nazwisko?

WALENTY.

Albo kiedy kto przez telefon powie nazwisko?

Zapytać się, to każdy mówi: zadzwonię później. (Dyskretnie, zbliżywszy się nieco). Mnie się zdaje, że to ta pani... z baletu.

KRABE.

Jeśliby dzwoniła jeszcze, powiedz, że... że wyjechałem.

WALENTY.

Jaśnie pan dawno już nie posyłał kwiatów... ani nic...

KRABE (z nieco sztuczną melancholią).

Trzeba się statkować, mój stary. Wiek ma swoje prawa.

WALENTY (przypochlebnie).

Jaśnie pan zawsze będzie młody!

KRABE (seryo).

Jak ty myślisz,—czy ja się jeszcze mogę podobać?

WALENTY (objął go wzrokiem i szczerze).

Mnie się jaśnie pan bardzo podoba.

KRABE.

Głupi jesteś. Ja się pytam, czy mogę się podobać takiej młodej osobie... czy mogłaby mię lubić?...

WALENTY (zaśmiał się cicho).

Proszę jaśnie pana... jaśnie pan lubi młode kuropatwy?

KRABE (nie rozumie).

Lubię... Więc co?

WALENTY.

A kiedy przed jaśnie panem stawiam półmisek z taką młodą kuropatewką w maśle, to jaśnie pan pyta się, czy ona jaśnie pana lubi?...

(Śmieją się obaj).

KRABE.

Kanalia jesteś, Walenty!

(Telefon dzwoni).

Spytaj, kto mówi. Jeśli ta sama...

WALENTY (bierze słuchawkę).

Słucham... Nie... służący... (z autorytetem). Pana Krabego niema i nie będzie, bo wyjechał... Co? Pani... (Do Krabego). To nie ta panienka z baletu, to pani Czerska.

KRABE (zrywa się od stolika i biegnie do biurka, wyrywając słuchawkę z rąk Walentego).

Dawaj... (do telefonu). Jestem... Przepraszam panią... to ten bałwan służący...

WALENTY (obrażony).

A zaraz bałwan!

KRABE (odwraca się doń z irytacyą).

Bałwan! (do telefonu). Tak jest, dziś... Przyszedł list? (słucha). I znalazła pani? Chwała Bogu! (słucha). Dobrze, czekam za półgodziny... Dobrze... Moje uszanowanie (kłania się).

(Wchodzi Matylda i Józia).

WALENTY (obrażony).

Czy można sprzątnąć?

KRABE.

Można...

(Idzie witać się z Józią, Walenty układa tacę i wychodzi).

SCENA V.

KRABE—MATYLDA—JÓZIA.

KRABE.

Dzień dobry pani. Chciałem się zapytać, czy pani przepisała ten wczorajszy referat?

JÓZIA.

Tak. W tej chwili przyniosę.

(Chce iść).

KRABE (zatrzymuje ją).

Zaraz... (serdeczniej). Pani się wciąż na mnie gniewa? (Józia milczy). Kiedy poprzedniemu sekretarzowi zwróciłem uwagę, że książka protokułów jest poplamiona, wyzwał mię na pojedynek. Myślałem, że jeśli na sekretarza wezmę panienkę, będzie lepiej. Jeszcze gorzej, (bierze Józię za rękę). Ciągle się na mnie obraża.

JÓZIA.

Pan wie, że to nie moja wina.

KRABE (zaperza się).

Więc to ja jestem winien, że brat pani...

MATYLDA (przerywa, stając między nimi).

Nie kłóćcie się (do Józi). Papa jest nieznośny. Ja mam także dosyć tej sprawy p. Czerskiego.

KRABE (dotknięty, j. w.).

Naturalnie, wszyscy mają dosyć! Gdy na spokojnego przechodnia napadają z za węgła, najwygodniej jest przejść obok z zamkniętemi oczami.

JÓZIA (stanowczo).

Panie Krabe, ja nie mogę się zgodzić, by pan w mojej obecności w ten sposób wyrażał się o moim bracie.

KRABE (zaperzony).

Więc tak nie jest? Proszę, niech pani powie...

JÓZIA.

Nie.

KRABE.

Tak.

JÓZIA.

Nie.

KRABE (j. w.).

Pani jest taka sama.

JÓZIA (kłania się i chce odejść).

Do widzenia.

MATYLDA (zatrzymuje ją, śmiejąc się).

Czekaj. Papo! Gdzież twoja wychwalana ró-

wnowaga? Z pewnością, że ona ma słuszność. I pan Adam... Świat należy do młodych. Starsi panowie powinni pilnować pieca w ciepłych pantoflach i szlafrokach (głaszcze Krabego po twarzy, nie puszczając jednak Józi). Prócz ciebie, ojczulku, bo ty zawsze będziesz młody (do Józi). Jemu mówić o gorących sercach i głowach! Wiesz, on się w tobie kocha!

JÓZIA.

Dlatego mówi mi ciągle przykre rzeczy.

MATYLDA.

Ojczulku! Kochasz się w sekretarzu, czy nie?

KRABE (wyprostował się, sztylpy cokolwiek wyprężył).

Sekretarz mię nienawidzi.

MATYLDA.

Patrz, jak jemu ładnie w sztylpach! Tylko to on właśnie ma za gorące serce. Z tymi młodymi zawsze bieda. Niedawno opowiadano mi na mieście, że papa kupił pewnej artystce automobil.

KRABE.

Ty sobie zawiele pozwalasz!

MATYLDA.

Nazywa się dziwnie i ma rude włosy. Nie podoba mi się. Ja proszę cię, żeby twoje ofiary były w moim guście. Na Józię zgadzam się. (do Józi). Chcesz być moją macochą?

JÓZIA (kryje w śmiechu lekkie zażenowanie).

Co ona plecie!

MATYLDA.

Niech papa jej nie wierzy. Ona ma słabość do papy. Tylko słuchaj, skoro zostaniesz moją macochą, Walentemu damy dymisyę.

JÓZIA (śmieje się).

To nieprzyjaciel?

MATYLDA.

Sprowadza papę na złe drogi. Mówiono mi na mieście, że to on nosi kwiaty, pierścionki...

KRABE (chce napróżno gniewać się).

Słuchaj-no! Co ty sobie myślisz? I gdzie tobie na mieście opowiadają takie bajki? (do Józi). Czy ja nie mam racyi, że trzeba ją wydać za mąż? Najwyższy czas. Ja sobie z nią nie dam rady.

MATYLDA.

Chce się mnie pozbyć, żeby mieć większą swobodę... Nie, nie, naprzód ja muszę twoją przyszłość ustalić.

KRABE (do Józi).

Młody Borkiewicz przyjechał. Dziś ma być u nas.

MATYLDA.

Madę in Paris. Wyrodny ojciec, który jedyną córkę do nowoczesnego Babilonu zaprzedaje.

KRABE.

Zaprzedaje? To już przesada. Do tego interesu będę rnusiał niezły pieniądz dopłacić. Albo ciebie wziąłby kto darmo?

MATYLDA.

To się jeszcze pokaże (do Józi). Musisz zobaczyć mój nowy kapelusz. Przysłali przed chwilą. Zaczekaj...

(Wybiega).

SCENA VI.

KRABE — JÓZIA.

JÓZIA.

Na miejscu Matyldy nigdy nie zgodziłabym się na takie swaty. Nie zna go wcale.

KRABE (dobrodusznie).

Nikt jej zmuszać nie będzie.

JÓZIA.

Małżeństwo nie może być wynikiem układów.

KRABE.

Pani jest taką samą romantyczką, jak brat, tylko, na szczęście, nie zajmuje się polityką. W ten sposób zawierane małżeństwa bywają najszczęśliwsze. On jest młody, zdolny, umie dawać sobie radę w życiu. Z dobrego gniazda... Pani nie lubi starego Borkiewicza?

JÓZIA.

Doktora? Więcej niż lubię.

KRABE.

On go wychowywał. Doktór jest także trochę waryat, jak wy wszyscy, ale drugiej, równie zacnej duszy, w całej Polsce niema. (Z pewną goryczą). Zwłaszcza w dzisiejszem pokoleniu. (Postrzegając ruch Józi, bierze ją za rękę i chce pocałować). No, niech już pani na mnie się nie gniewa...

JÓZIA (usiłuje wyrwać rękę).

Panie pryncypale! A hierarchia biurowa?...

KRABE (zatrzymał przez chwilę jej rękę i poważniej dodał).

Ja naprawdę dla pani mam wiele prawdziwej... przyjaźni.

(Wpada Matylda w pięknym kapeluszu).

Teraz ja panie zostawię. Muszę się przebrać.

(Wychodzi).

SCENA VII.

MATYLDA — JÓZIA.

MATYLDA.

Ładny, prawda?

JÓZIA (przygląda się).

Bardzo.

MATYLDA.

I dobrze mi w nim?

JÓZIA.

Świetnie.

MATYLDA (nieuważnie).

Ach, słuchaj, czy twoja bratowa musi od rana chodzić w jedwabiach?

JÓZIA (zdziwiona).

Widziałaś ją?

MATYLDA (zreflektowała się).

Przez okno.

JÓZIA.

Odprowadziła mię do biura.

MATYLDA.

O dziewiątej rano już w atłasowej spódnicy (ironicznie). Przecież ona powinna wiedzieć, jak trzeba się ubrać.

JÓZIA (z wyrzutem).

Jesteś złośliwą.

MATYLDA.

Nie gniewaj się... ja nigdy nie będę mogła zrozumieć tego małżeństwa. Powiedz sama, czy pan Adam może być z nią szczęśliwy?

JÓZIA (z prostotą).

Gdy się ma do spełnienia obowiązek, nie myśli się o własnem szczęściu. Frania bardzo go kocha...

MATYLDA.

On jej przecież kochać nie może. Ty nie pragnęłabyś, aby znalazł kobietę godną siebie?

JÓZIA.

Dawniej,—tak.

MATYLDA.

A dziś?

JÓZIA (zdziwiona).

Jakto: dziś?

MATYLDA.

Człowiek nie żyje tylko dla innych. Żyje także — i przedewszysjkiem — dla siebie. Nie... nie... my się nigdy nie zrozumiemy. W was jest bierność słowiańska, uginanie się pod brzemieniem losu. Moja krew buntuje się przeciw temu, co wy nazywacie obowia.zkiem, a dla mnie jest brakiem odwagi do walki...

(Podczas ostatnich słów wszedł do gabinetu Stefan Borkiewicz, młody, wykwintnie ubrany. Oglądnął się cokolwiek niepewnie i postępuje parę kroków ku pannom, które, zajęte rozmową, nie spostrzegły jego wejścia).

SCENA VIII.

J ÓZIA—MATYLD A—STEFAN.

STEFAN.

Panie wybaczą...

(Matylda urwała, zaskoczona. Chwila milczenia. Józia daje znak Matyldzie, by podniosła się do gościa, ona jednak nie rusza się z miejsca).

Muszę się sam przedstawić... Jestem Borkiewicz, szedłem ze stryjem, który spotkał przed bramą znajomego i polecił mi tutaj na niego czekać... (przybliża się do Józi, która powstała, biorąc ją za panią domu). Stryj pisał mi wiele o pani...

MATYLDA (spostrzegłszy, że Stefan uważa ją, siedzącą w kapeluszu, za gościa, kryje śmiech).

Czy moja przyjaciółka jest taką, jak ją opisywano?

STEFAN (poddaje się chętnie jej wesołości).

Daleko lepiej. Ńie można porównać.

JÓZIA (chcąc przerwać mistyfikacyę).

Moja droga...

MATYLDA (przerywa).

Ja zawsze mówiłam, iż, aby cię ocenić, trzeba cię poznać. Wybaczy pan, że teraz odwrócimy kwestyę (do Józi). Czy pan Borkiewicz jest taki, jak ci go przedstawiano? (Józia chce mówić, Matylda śmiejąc się, nie daje). Jednem słowem, doznałaś rozczarowania, czy nie?

JÓZIA (wyrywa się jej).

Pan pozwoli, że go wyprowadzę z błędu...

MATYLDA (j. w. zamyka jej usta swą piąstką).

Nie, nie, poczekaj, zaraz przyprowadzę pana KrabegO (wybiega ze śmiechem).

STEFAN (trochę urażony temi żartami).

Pani przyjaciółka jest bardzo wesoła.

JÓZIA (podrażniona).

Proszę pana, ja nie jestem...

STEFAN (z autorytem).

Niech mi pani wierzy, bardzo się cieszę, że pani tak jest niepodobna do swej przyjaciółki. Każdy mężczyzna nosi w sobie obraz kobie-

ty, który najlepiej odpowiada jego duszy. Jestem szczęśliwy, że właśnie pani...

(Wpada doktór Borkiewicz).

SCENA IX.

CIŻ—doktór BORKIEWICZ.

BORKIEWICZ (we drzwiach).

Przepraszam (objął ich wzrokiem). Już się państwo poznali? Czy skłamałem, że panna Matylda jest śliczna?

STEFAN (z przekonaniem).

Nigdy stryj nie miał więcej słuszności.

JÓZIA (tyle stropiona, że w głosie jej czuć łzy).

Ależ panie doktorze, czy i pan mię nie poznaj e?

BORKIEWICZ (który się zbliżył,—zdziwiony, spojrzał jej zblizka w oczy).

Panna Józefa? Ja sądziłem... przepraszam... (Stefan patrzy na nich, nie rozumiejąc).

JÓZIA (do Stefana).

Pan nie pozwolił mi wyjaśnić nieporozumienia... Matylda żartowała z nas...

STEFAN (odyma się).

Więc pani?

JÓZIA.

Jestem Józefa Węgielska.

STEFAN (j. w.).

Pani ze mnie teraz nie żartuje?

BORKIEWICZ (serdecznie, bierze Józię za rękę).

Oczywiście, nasza panna Józefa... siostra Adama...

STEFAN (kłania się ceremonialnie).

Proszę wybaczyć.

JÓZIA (zmartwiona).

Pan sam przyzna, że to nie moja wina.

BORKIEWICZ (usiłując załagodzić nieporozumienie).

Nic złego przecież się nie stało. Panna Matylda zawsze skora do żartów. Mnie raz podała swój kapelusz z piórkiem i tak wyszedłem na ulicę.

(Wchodzi szybko Krabe).

SCENA X.

JÓZIA—STEFAN—BORKIEWICZ—KRABE.

KRABE.

Przepraszam panów... (wita się, zatrzymując dłużej w ręku dłoń Stefana). Miło mi spotkać pana po wielu latach (do Józi). Matylda już coś zmalowała?...

STEFAN (ceremonialny).

Chciałem przedstawić się panu, korzystaja.c z towarzystwa stryja... Ale wiem, że panowie mają teraz posiedzenie i nie będę przeszkadzał...

KRABE.

Zawołam zaraz Matyldę... (do Józi). Panno Józiu! (Józia chce iść do salonu).

STEFAN (zatrzymuje ją gestem).

Nie, proszę pani, ja muszę iść... (do Krabego). Jutro będę u państwa...

(Kłania się i wychodzi).

SCENA XI.

JÓZIA—BORKIEWICZ—KRABE.

KRABE (patrzy za nim).

Obraził się!

BORKIEWICZ.

Ależ nie... skąd znowu!

JÓZIA (do Krabego).

Ja już panu nie będę potrzebna?

KRABE (wyciągnął do niej rękę, przetrzymując cokolwiek uścisk).

Nie... (do Borkiewicza). Za chwilę ma przyjść pani Czerska. Ów list jest.

BORKIEWICZ.

Chwała Bogu! (żegna się z Józią). Ukłony dla mamy!

(Józia wychodzi drzwiami do przedpokoju).

SCENA XII.

BORKIEWICZ—KRABE—(później) WALENTY.

KRABE (goni wzrokiem za Józią).

Żebym ja miał piętnaście lat mniej!...

BORKIEWICZ (nie rozumie, o co Krabemu chodzi).

Ty jesteś zawsze młody! Wyglądasz na...
(zawahał się).

KRABE (zainteresowany).

Na ile?

BORKIEWICZ (po namyśle).

Na czterdzieści pięć.

KRABE (z westchnieniem).

Jeszcze byłoby o dziesięć lat za dużo.

BORKIEWICZ.

I co ci na tem zależy! (smętniej). Wzrok masz doskonały... Ty widzisz dobrze?

KRABE.

Jak jastrząb.

(Wchodzi Walenty).

WALENTY.

Pani Czerska z synem.

KRABE.

Proś tutaj.
(Idzie ku drzwiom, przez które wchodzi zaraz pani Czerska, czarno ubrana, z kilkunastoletnim chłopcem).

SCENA XIII.

KRABE—BORKIEWICZ—P. CZERSKA—KAZIO.

KRABE (z serdecznym szacunkiem).

Witam panią... jak się masz, kawalerze!...
(całuje w rękę p. Czerską, Kazia—w czoło).

BORKIEWIGZ (wita się również serdecznie).

Dzień dobry pani.

CZERSKA.

Dopiero wczoraj wieczorem dostałam od męża list z dokładną wskazówką, gdzie w biurku szukać tych papierów... (podaję Krabemu). Nie otwierałam wcale koperty, którą znalazłam... (wyciąga z torebki list). Tu jest list męża do pana z objaśnieniami.

KRABE (położył większą kopertę na stole, list otwiera).

Pani pozwoli?... Niech pani raczy usiąść tu... wygodnie.

CZERSKA.

Dziękuję.

(Siada, obok niej Kazio i Borkiewicz; Krabe zaczyna czytać list, stojąc).

BORKIEWICZ (troskliwie półgłosem).

Jak zdrowie pana Marcina?

CZERSKA (przygnębiona).

Chciał koniecznie przyjechać. Lekarze nie pozwolili,—z powodu bardzo ostrego rozstroju nerwów. Ja pragnęłabym do niego jechać, nie mogę jednak zostawić syna samego.

BORKIEWICZ (przesunął przyjaźnie ręką po ramieniu chłopca).

Taki duży młodzieniec!

CZERSKA.

W normalnych warunkach nie lękałabym się

wcale. Lecz obecnie, gdy przestał chodzić do szkoły...

BORKIEWICZ (zdziwiony).

Przestał? Dlaczego?

KAZIO (przez łzy).

Proszę pana... Koledzy nazywają mnie synem złodzieja.

(Borkiewicz wstrząsnął się, Krabe przestał czytać).

BORKIEWICZ.

To niemożliwe!

KAZIO.

Proszę pana... Pierwszemu dałem w pysk, ale kilku rzuciło się na mnie...

BORKIEWICZ (głęboko przejęty).

Tacy młodzi! Dzieci jeszcze!

KRABE (gniewnie).

Jedno łajdactwo rodzi inne... (odsapnął). W tej chwili... (czyta dalej).

BORKIEWICZ (ze wzruszeniem).

Ile pani musiała przecierpieć!

CZERSKA (łzy w głosie).

Pan nie uwierzy! Te listy anonimowe... telefony... kondolencye znajomych!... Ale największy ból, to patrzeć na niezasłużoną krzywdę drogiej osoby i nie módz dać pomocy!

KRABE (skończył czytanie listu).

Niech pani będzie spokojną. Z wyszczególnionych W liście dokumentów (wskazuje na le-

żącą kopertę), które są tu, sprawa nie przedstawia wątpliwości. (Gest). Jeśli mają odrobinę sumienia, wstyd powinien spalić ich gorącym płomieniem.

CZERSKA (smutnie).

Ludzie złej woli nie znają wstydu ani wyrzutów sumienia. Ja się obawiam, że mimo wszystko... potwarz przetrwa.

KAZIO (gorąco).

To nie może być! Ja na to nie pozwolę. Ani pan Krabe! Prawda? Oni nie będą mieli prawa nazywać ojca złodziejem! Nie będą mieli prawa, nie! nie!

(Wybucha tłumionem łkaniem).

CZERSKA (wzruszona).

Pamiętaj, coś obiecał!

(Uspokaja go).

BORKIEWICZ (głęboko).

Prawda musi zwyciężyć, chłopcze! Gdybym w to nie wierzył, wołałbym odrazu nie widzieć jasnego świata!

KRABE (z przekonaniem).

Musi! (zbliżył się do chłopca, który powstał,—i objął go ramieniem). Pomyśl, gdyby ojciec twój walczył za ojczyznę i poniósł ciężkie rany? To jest to samo.

KAZIO (hamując łkanie).

Jabym wołał wszystko, byle nie złodziej! Na-

wet woźni w szkole szeptali, gdym wchodził,—to syn... tego!

CZERSKA.

Czy panowie zdają sobie sprawę, co on przechodzi tam, samotny, w hotelowym pokoju!?... Chciałam przerwać wysyłkę gazet,—lękałam się, że będzie wyobrażał sobie jeszcze gorzej... On, który przez całe życie!...

BORKIEWICZ (wziął ją za rękę, przerywa).

Odwagi i spokoju!

KRABE (żywo).

Niech nam pani wierzy... sprawę pana Marcina uważamy za swoją. Nie zaznamy spoczynku, póki potwarz nie zostanie odwołaną.

(Wchodzi Walenty).

WALENTY (melduje).

Pan Węgielski.

CZERSKA (wstaje przerażona).

To ten?...

KRABE (spojrzał na zegarek).

Tak. Już schodzą się na posiedzenie.

CZERSKA.

Nie chciałabym spotkać się z tym panem!

KRABE.

Przeprowadzimy panią do bramy przez ogród. Teraz wszystko kwitnie... (prowadzi ją). Tędy...

(Borkiewicz wziął pod ramię Kazia i idzie za Krabem i Czerską)

KRABE (do Walentego, który czeka przy drzwiach).

Proś tutaj...

(Wychodzą).

SCENA XIV.

ADAM—MATYLDA—później KRABE.

(Walenty wprowadza Adama, poczem wychodzi Adam przez chwilę zostaje sam. W drzwiach od salonu ukazuje się Matylda, już bez kapelusza).

MATYLDA (w drzwiach, przyciszonym głosem).

Dzień dobry panu!

ADAM (drgnął i odwraca się).

To pani! (idzie ku niej witać się). Dzień dobry... (ona wyciąga doń rękę, którą on, po momencie wahania się, całuje).

MATYLDA.

Dowiedziałam się, że pan przyszedł.

ADAM.

Jestem pierwszy... Mamy posiedzenie.

MATYLDA.

Wiem. Pan nie gniewa się na mnie?

ADAM.

Ja? Za co?

MATYLDA.

Pragnęłam ujrzeć pana choć przez chwilę...

(milczenie). Pan wie... mój pretendent już obrażony.

ADAM.

Tak?

MATYLDA.

Ja nie wyjdę za niego... za nikogo (milczenie). Pan unika mię... nie wyszedł pan, gdym była wczoraj u Józi?...

ADAM.

Panno Matyldo! Musimy pomówić szczerze... (obejrzał się). Nie dziś...

MATYLDA.

Tak... Jabym chciała tylko jedno wiedzieć... Powie pan?

ADAM.

Słucham.

MATYLDA.

Czy pan czuje się szczęśliwym? Naprawdę szczęśliwym?

ADAM.

Czyż można być zupełnie szczęśliwym?

MATYLDA (żywo).

Można! Ale trzeba mieć chęć i wolę do szczęścia. Nie trzeba zważać na przeszkody... Pragnienie szczęścia powinno być mocniejsze, niż wszystko (po chwili). Pan nie jest, nie może być szczęśliwym... a ja...

ADAM (przerywa—cokolwiek niespokojnie).

Są marzenia o szczęściu nieziszczalne... niemożliwe!...

MATYLDA (porywczo).

Niema rzeczy niemożliwych! Należy umieć chcieć!

ADAM.

A gdy nie wolno?

MATYLDA (j. w.).

To prawa dla niewolników, lecz nie dla ludzi mocnych. Czyż można cokolwiek osiągnąć w życiu—bez ofiar?

ADAM.

Ofiarę można robić z siebie, nie z innych.

MATYLDA.

Zawahał się pan uczynić ofiarę z pana Czerskiego?

ADAM (sposępniał nagle).

To było dla prawdy.

MATYLDA.

Szczęście własne jest najwyższą prawdą człowieka (ciszej i miękcej). Gdyby pan czuł choć w drobnej cząstce, co ja czuję...

ADAM.

Pani igra z ogniem, jak szalone dziecko.

MATYLDA (bierze go za rękę).

Choć w drobnej cząstce...

ADAM (pokonany).

Pani jest naj rozkoszniej szem szalonem dzieckiem!

MATYLDA (patrzy mu w oczy z zalotnym dąsem).

Tylko tyle?

ADAM (kończy).

Którego urokowi oprzeć się niepodobna.

MATYLDA (uśmiecha się).

Lepiej.

ADAM (dając się bezwiednie ponieść wewnętrznej namiętności, ciszej).

W snach o szczęściu obraz pani nie odstąpi mię nigdy!

(Przez drzwi od ogrodu wchodzi Krabe i postrzega ich rozmowę—bez zadowolenia).

MATYLDA (zdławionym głosem).

Czemuż bać się jawy?

KRABE (szorstko).

Dzień dobry panu! (Instynktownie Adam i Matylda odsunęli się. Do Matyldy, z wyraźnem nieukontentowaniem). Wiesz, że mamy posiedzenie (podał oficyalnie rękę Adamowi).

MATYLDA (trochę kapryśnie, trochę bezwzględnie).

Ja chciałam przejść do ogrodu. Akacye tak pachną.

KRABE (zły).

To trudno. Jak kwitnie, to pachnie.

(Dzwoni na służącego, Matylda skinęła głową Adamowi i znika w drzwiach do salonu, — choć zapachniały jej akacye w ogrodzie).

(Drzwiami od ogrodu wchodzi Borkiewicz).

SCENA XV.

ADAM-KRABE—BORKIEWICZ-WALENTY.

BORKIEWICZ (nie wiedząc o obecności Adama, hierze zdaleka jego postać za Krabego i daje folgę swym myślom).

Co z takiego chłopięcia będzie, jeśli teraz złość ludzka wciska w młodą duszę poczucie krzywdy i niesprawiedliwości, szarpie wątłe nerwy! (zbliża się do Adama, wciąż w mniemaniu, że to Krabe,—który usunął się na lewo do drzwi). Pojmujesz, żeby to kto inny! Ale on, syn naszej pani Waleryi!...

KRABE (nie słucha go, zajęty przy drzwiach, z irytacyą; do Walentego, który pojawił się na progu).

Ciebie nigdy niema, gdy jesteś potrzebny... (wskazuje na duży stół). Czemu nic nie przygotowane?

BORKIEWICZ (usłyszawszy głos Krabego, stropił się, poznawszy swą omyłkę).

Przepraszam... nie widziałem (w głosie brzmi utajony żal). Witam pana...
(Adam wita się z nim oficyalnie, acz z szacunkiem).

WALENTY (z godnością).

Nie wiedziałem, że pani Czerska wyszła. W tej chwili wszystko będzie.

(Ustawia krzesła koło stołu sesyonalnego).

KRABE (opryskliwie).

Papier i atrament...
(Walenty bierze z biurka arkusze białego papieru i rozkłada je na stole,—stawia kałamarz i dzwonek).

KRABE (j. w.).

Jeszcze nie było w Polsce takiego posiedzenia, któreby się rozpoczęło o wyznaczonej godzinie.

ADAM.

Mój zegarek widocznie się śpieszy.
(Wchodzą Zaworski i Róża Wińska, ciemno i dość niedbale ubrana. Adam podchodzi do nich szybko i wita się z nimi).

SCENA XVI.

CIŻ—ZAWO RSKI—WIŃSKA—HRABIA—KORZYCKI.

ADAM (prezentuje).

Pan Zaworski... panna Wińska... pan Krabe... doktór Borkiewicz...

(Wymiana dość chłodnych ukłonów).

BORKIEWICZ (podaję rękę Zaworskiemu).

My się znamy.

ZAWORSKI (oficyalnie).

Tak.

KRABE.

Brakuje nam jeszcze hrabiego Łebskiego i p. Korzyckiego (postrzegając wchodzącego hrabiego)- O, hrabia jest...

(Spieszy go powitać).

HRABIA (starannie ubrany dżentelman, wita się z Krabem i Borkiewiczem z przyjacielską, wielkopańską nonszalancyą, pozostałym kłania się dość uprzejmie, lecz zdaleka).

Pewnie się spóźniłem. Panowie... (poprawia się z uśmiechem, zatrzymawszy wzrok na Wińskiej). Państwo już w komplecie?

KRABE (prezentuje zdaleka).

Pan Węgielski... pan Zaworski... panna Wińska... Czekamy jeszcze na pana Korzyckiego... Proszę, niech państwo siadają.

(Adam, Zaworski i Wińska siadają przy stole).

HRABTA (wziął poufale doktora pod ramię).

Takie czerwcowe słońce przenika nawet do starych kości, doktorze!

BORKIEWICZ.

Świat jest piękny, panie hrabio.

KRABE (zbliżając się do nich, usłyszał ostatnie słowo).

O ile go nie zeszpecą ludzie... (ciszej). Jeszcze nigdy nie byłem na zebraniu z Korzyckim, żeby się nie spóźnił. Musi mieć wejście efektowne. Stary komedyant!

HRABIA (śmiejąc się).

Jakto, stary? Przecież on zawsze jest z naj-

młodszymi! Nawet młodzi są dla niego zbyt dojrzali...

(W drzwiach zjawia się Korzycki,—postać imponująca, o obfitej, siwej brodzie).

KRABE.

Jest!

(Idzie witać się)

KORZYCKI (wita się oficyalnie z Krabem i hrabią, cokolwiek cieplej z doktorem, serdecznie i koleżeńsko z Adamem, Zaworskim i Wińską).

Moje uszanowanie. Witam doktora... Jak się macie! Czołem! (wziął Zaworskiego na bok i z uśmiechem). Cóż my zrobimy z tymi mamutami?

. ZAWORSKI (śmieje się cicho i złośliwie).

Do muzeum wykopalisk!

KRABE.

Niech panowie raczą zająć miejsca (do Korzyckiego). Pan może tutaj... (wszyscy siadają, Korzycki sięga po dzwonek i stawia go przed sobą). Pozwolą państwo zabrać głos?... (gwar cichnie).

KORZYCKI (uderzył mocno w dzwonek, poglądając w stronę hrabiego, który kończy rozmowę z Borkiewiczem).

Pan Krabe ma głos.

KRABE.

Państwo zgodzą się, by przewodniczył nam Korzycki?

GLOSY.

Owszem... Prosimy...

HRABIA (*z* delikatną ironią).

Ja sądziłem, że pan Korzycki już objął przewodnictwo...

KORZYCKI (z udaną dobrodusznością).

Przepraszam... mimowoli sięgnąłem po dzwonek.

HRABIA (j. w.).

Ależ my się wcale nie dziwimy... Pan zawsze i wszędzie przewodniczy... Dzwonek stał się poniekąd organem szanownego pana...

KORZYCKI (maskując złość, do Krabego).

Pan chciał mówić?

KRABE.

Winienem w krótkich słowach wyjaśnić sprawę, która nas zgromadziła. O co chodzi, państwo wiecie (milczące potakiwania). Organ panów (zwrócił się w stronę Adama i Zaworskiego) oskarżył pana Marcina Czerskiego o przywłaszczenie funduszu publicznego.

ADAM (spokojnie).

Tak.

KRABE.

Artykuł „Trzymajcie Złodzieja“ był zresztą tylko dalszym ciągiem kampanii, prowadzonej z szczególną zawziętością przeciw p. Czerskiemu. Dla celów partyjnych nie zawahano się wciągnąć w grę czci osobistej człowieka, który całe życie poświęcił służbie publicznej.

WIŃSKA (ze sztuczną grzecznością).

Pragnęłabym wiedzieć, czy panowie zaprosili nas w celu dania wyjaśnień o incydencie p. Czerskiego, czy też dla udzielenia nam, w tonie życzliwym, garści nauk ojcowsko-moralnych?

KRABE (spojrzał z wymówką w stronę Korzyckiego).

Przepraszam...

KORZYCKI.

Głos ma pan Krabe.

KRABE (zwraca się do Wińskiej tonem uprzejmej impertynencyi).

Łaskawej pani pozwolę sobie odpowiedzieć, że jako człowiek trzeźwy i praktyczny, nie podejmuję nigdy zadań ponad siły... (odsapnął, wraca do tonu poprzedniego). Człowiekowi, którego głęboko szanujemy, wyrządzoną została najdotkliwsza krzywda, jakiej doznać może prawy obywatel. Nie chcemy,—nie możemy przypuszczać, aby panowie uczynili ją rozmyślnie. Mniemamy, że zostaliście wprowadzeni w błąd. I dlatego, ulegając przełożeniom doktora Borkiewicza, zawezwaliśmy panów, by dać im możność,—zanim sami z publiczną deklaracyą wystąpimy, — naprawienia tej ciężkiej a niezasłużonej krzywdy. I, aczkolwiek wszelki sąd honorowy w tej sprawie uważamy za zbędny, w przekonaniu, że nasze objaśnienia i dowody wystarczą, na przewo-

dniczącego tego zebrania pozwoliliśmy sobie uprosić p. Korzyckiego, którego sympatye dla panów są znane, który z nami prowadził zawsze walkę, w którego uczciwość i sprawiedliwość jednak nie przestaliśmy nigdy wierzyć.
(Korzycki skłonił lekko głowę, dziękując za te komplimenty).

ZAWORSKI (nie wstając z miejsca, do Korzyckiego).

Pozwoli pan... w sprawie formalnej?

KORZYCKI (porozumiał się wzrokiem z Krabem)

Pan Zaworski.

ZAWORSKI.

Zanim pan Krabe przystąpi do obiecanych wyjaśnień, pragnąłbym ustalić charakter naszego dzisiejszego zebrania. (Z udanem lekceważeniem). Jeślim dobrze zrozumiał p. Krabego, ma to być prywatna pogawędka, mająca na celu...
(Zatrzymał się na sekundę, jakby szukając wyrazu).

WIŃSKA (kończy).

...dezynfekcję przyplamionej reputacyi p. Czerskiego.

ZAWORSKI (zaśmiał się krótko i cicho).

Tak... Nie umiem narazie zdać sobie sprawy, w jakiej mierze asystencya nasza przy tej delikatnej operacyi może być skuteczną... Sądzę wszakże, że to... cokolwiek dorywczo zorganizowane zebranie, nie może powziąć żadnej uchwały, która by nas obowiązywała.

BORKIEWICZ (wstaje żywo, do Korzyckiego).

Proszę o głos... w tej samej kwestyi.

(Korzycki gestem udziela mu głosu).

— Pan Krabe wyjaśnił panom... ja jestem inicyatorem tego zebrania. Moi przyjaciele chcieli zwoływać sąd obywatelski... sąd honorowy. Ja zaproponowałem inną drogę. Dlaczego? zaraz powiem. Nie chcialem stawiać panów w pozycyi strony obwinionej, mniemając, że autor inkryminowanego artykułu został wprowadzony w błąd. Błąd można i należy naprawić, naszem zaś zadaniem winno być jego udowodnienie. Panowie jesteście młodzi: musicie kochać prawdę. Kochacie ją inaczej, niż my, bo choć nasze serca nie przestały bić gorąco, porywami ich kieruje gorzko okupione doświadczenie.

WIŃSKA.

Znamy to doświadczenie!... bawełnę w uszach od ludzkiego jęku!

BORKIEWICZ (dotknięty, bez gniewu).

Pani to do mnie mówi? (milczenie). Po cóż sądy, które zawsze zostawiają osad niezadowolenia, czystych trochę zbrukają, winnych cokolwiek oczyszczą, nigdy nikogo nie zadowolą?... Najstraszniejsze cierpienia spłynęły na ludzi z popędu do wymierzania sprawiedliwości bez zdolności sądzenia...

WIŃSKA.

Panom zaś o to chodzi, by pan Czerski wy-

szedł z tej afery, jak rękawiczka z benzynowej kąpieli.

ZAWORSKI.

I my mamy być udziałowcami tej chemicznej pralni (uśmiecha się złośliwie).

(Borkiewicz zniechęcony, usiadł).

KRABE (podrażniony do Korzyckiego).

Zdaje mi się, że odbiegamy kwestyi?

KORZYCKI (do Krabego).

Pan miał udzielić wyjaśnień.

KRABE (wstaje).

Tak. Będę mówił zwięźle, trzymając się tylko faktów. Jak panom wiadomo, ś. p. Adam Bilski zapisał cały majątek swój p. Marcinowi Czerskiemu, z zastrzeżeniem, że p. Czerski obróci ów spadek na wymienione w kodycylu cele publiczne. Zaś organ panów (zwrócił się w stronę Adama i Zaworskiego), a za nim parę innych dzienników, oskarżył p. Czerskiego, że część owego spadku zatrzymał dla siebie...

ADAM.

Tak.

KRABE.

W informacyi tej była połowa prawdy. (Poruszenie). Istotnie suma stu tysięcy rubli nie została wcieloną do funduszu szkolnego. Ale czyniąc tak, p. Czerski postępował zgodnie z wolą spadkobiercy.

ZAWORSKI (brutalnie).

Gdzież to napisane?

KRABE.

Ś. p. Bilski do pierwotnego kodycylu dołączył drugi, późniejszej daty, z prośbą, aby ten drugi kodycyl, mający wszelką wartość prawną, nie był ujawniony. W tym drugim kodycylu daje zlecenie p. Czerskiemu do wypłacenia stu tysięcy rubli osobie trzeciej, której nazwiska wzbrania publikować. Wszystkie dowody mam tu... (wskazuje mocnym gestem na kopertę, która przed nim leży).

(Chwila milczenia).

ADAM.

Proszę o głos.

KORZYCK1 (do Krabego).

Pan skończył.

KRABE.

Tymczasem—tak.

KORZYCKI (do Adama).

Proszę was...

ADAM (wstaje).

Nie uchylałem się nigdy od odpowiedzialności za własne czyny. Artykuł, który panów tak dotknął, pisałem ja. (Chwila milczenia). Sfera spraw publicznych, to świątynia. W tej świątyni niema miejsca dla przekupniów i szalbierzy. Kto chce wskazywać narodowi drogi, musi być przedewszystkiem sam bez skazy.

Nie można ścierpieć, aby do przodownictwa porywali się wyzyskiwacze i szarlatani.

HRABIA (oburzony).

Czy pan to mówi do nas?

KRABE (pogardliwie).

Nie trzeba zwracać uwagi.

ADAM (do Korzyckiego—obojętnie).

Czy mnie pan udzielił głosu?

KORZYCKI.

Moi panowie! Proszę nie przerywać.

ADAM.

Naszym obowiązkiem jest piętnować występki i zbrodnie przeciw moralności publicznej. Może-ż zaś być gorsza zbrodnia, jak kradzież publicznego grosza? Rozumiem, że ujawnienie tego faktu jest dla panów niedogodnem. Pragnęlibyście go utaić lub przynajmniej zbagatelizować!...

KRABE.

Nieprawda!

BORKIEWICZ.

Nie.

ADAM.

Dla was człowiek, głoszący prawdę, jest ptakiem, kalającym własne gniazdo. My się prawdy nie lękamy, choćby była najprzykrzejszą. Bo my ufamy w nasze siły i wierzymy w przyszłość. Zaś wy wątpiliście o tej wiecz-

nej mocy, i wasze doświadczenie jest tylko rezygnacyą, trwogą przed czynem!

KRABE (niecierpliwie do Korzyckiego).

Cóż to wszystko ma wspólnego?

ADAM.

Oskarżenie nasze oparte jest na dowodach.

KRABE (przerywa).

Bo nie wiedzieliście o drugim kodycylu z późniejszą datą. Mam go tu. Bilski wszakże z powodów rodzinnych zastrzegł jego najściślejszą tajemnicę.

(Zaworski śmieje się cicho i złośliwie).

WIŃSKA (ironizuje).

Jeśli panowie nie mogą tego dowodu pokazać, po cóż było nas zapraszać?

KRABE.

Pan Czerski zgadza się, aby dokument był przedstawiony wybranemu przez nas arbitrowi, wierząc, że w ten sposób tajemnica zostanie dochowaną!

(Chwila milczenia).

KORZYCKI.

Czy panowie akceptują tę propozycyę?

HRABIA.
BORKIEWICZ.
Owszem.

(Zaworski, Wińska i Adam porozumiewają się).

ADAM.

W zasadzie akceptujemy.

KORZYCKI.

Należy zatem przystąpić do wybrania arbitra.

ZAWORSKI.

Proponuję pana Korzyckiego.

(Krótka chwila milczenia).

BORKIEWICZ (wstaje).

Proszę O głos (Korzycki udziela mu go gestem). Pan Węgielski oskarżenie opublikował. Panu Węgielskiemu winniśmy powierzyć sprawdzenie dowodów.

ADAM (żywo).

Mnie? To niemożliwe!

BORKIEWICZ.

Właśnie panu.

ADAM.

Jestem stroną interesowaną.

BORKIEWICZ.

Ja wierzę w pańską uczciwość. I państwo wszyscy...

GLOSY (bez entuzjazmu).

Oczywiście... tak...

BORKIEWICZ (do Adama).

Powiedziałeś pan, że się nie cofasz przed odpowiedzialnością za własne czyny?

ADAM (mocno).

Tak

BORKIEWICZ.

Więc nie wolno panu odmawiać.

(Chwila milczenia).

KORZYCKI.

Czy panowie—i pani—*zgadzają* się na osobę p. Węgielskiego?

GLOSY (j. w.).

Tak... Owszem...

KRABE (do Adama).

Składam dokument w pańskie ręce. Tu zaś jest list p. Czerskiego, który zawiera objaśnienia. Uprzedzam, że sprawdzenie zajmie conajmniej kilka dni czasu, ponieważ osoba..., której nazwisko wchodzi w grę, nie mieszka w Warszawie. Zresztą gotów jestem w każdej chwili służyć panu pomocą.

(Adam w milczeniu skłania głowę).

KORZYCKI (wstaje).

Ńa dziś zatem misyę naszą możemy uważać za skończoną.

(Wszyscy powstają).

Zasłona spada.

KONIEC AKTU Ii-go.

AKT III.

Dekoracja ta sama, co w pierwszym akcie: salonik w mieszkaniu Węgielskich.

SCENA I.

FRANIA—JÓZIA.

(Frania siedzi opodal okna z pochyloną głową i opuszczonemi ramionami, na twarzy wyraz zamyślenia i smutku. Józia, żywa i wesoła, krząta się koło kwiatów, któremi zastawione są stoły i fortepian).

JÓZIA.

Prawda, jaki ten bukiet ładny? To od doktora Borkiewicza. Czy ja na swoje imieniny dostaję kiedy tyle kwiatów, co mama! (Spojrzała na Franię i zastanowiła się jej wyglądem). Co ci jest?

FRANIA (wstała wolno).

Nic...

JÓZIA (już nie zwraca na nią uwagi).

Na mnie tak działa wiosenne słońce... że nie wiem! Zdaje mi się, że mogłabym oderwać

się od ziemi, — że u ramion mam skrzydła. Jakie te róże piękne! (z odcieniem żalu). Trzeba właśnie, żeby Adam miał tyle zmartwień!

FRANIA (oparła głowę o framugę okna).

W depeszy donosi tylko, że dziś wraca...

JÓZIA (odłożyła kwiaty na moment).

Ale co przywiezie? Jaki będzie rezultat jego ankiety?...

FRANIA (z utajoną goryczą).

Ja dobrze nie rozumiem jeszcze, o co wam wszystkim chodzi.

JÓZIA.

Przecież wczoraj rozmawialiśmy jedynie o tern przez cały wieczór. Nie słyszałaś, co mówił pan Stefan? (Frania milczy). Dlaczegoś zniknęła tak prędko?

FRANIA (j. w.).

Nie chciałam przeszkadzać.

JÓZIA (spojrzała na nią uważniej).

Jakto, przeszkadzać? (podchodzi do niej, bierze za rękę, i pół żartem, pół seryo). Pani bratowa COŚ ukrywa!... Proszę powiedzieć!

FRANIA (snuje wątek swych myśli).

Ja prawie chciałabym, żeby Adamowi zdarzyło się... coś takiego...

JÓZIA (puszcza jej rękę).

Nie rozumiem.

FRANIA (j. w.).

W nieszczęściu poznaje się tych, co naprawdę kochają.

JÓZIA (z lekkim uśmiechem).

Czyż sądzisz, że on potrzebuje od ciebie aż takich dowodów miłości?

FRANIA (j. w.).

Coś ważnego się dzieje, a ja nie wiem nawet dokładnie, co... Wszyscy się martwią lub cieszą, ja pozostaję obca...

JÓZIA.

Jesteś niesprawiedliwa.

FRANIA (żywiej).

Dlaczego Adam, gdy ma troskę, zwierza się tylko matce lub tobie?

JÓZIA (wróciła do kwiatów, nie biorąc poważnie żalów i pretensyi Frani).

Pragnie ci oszczędzić niepokoju.

FRANIA.

Nie, nie. Myśli, że jabym nie zrozumiała. Piąte koło u wozu, które tem więcej przeszkadza, im droga staje się uciążliwszą... (zmienia ton) Czy ten młody pan Borkiewicz ożeni się z panną Matyldą?

JÓZIA (uśmiechnęła się bezwiednie).

Wątpię.

FRANIA.

Podobno przyjechał w tym zamiarze... Czy to ona nie chce?

JÓZIA.

Zbyt wiele pragniesz wiedzieć odemnie.

FRANIA.

Dlaczego ona nie chce? Ten pan jest przystojny...

JÓZIA (szczerze).

Prawda?

FRANIA.

Pan Krabe życzy sobie tego małżeństwa.

JÓZIA.

Pan Krabe zawsze stosuje się do woli Matyldy.

FRANIA (z naiwną zazdrością).

O czem tyś wczoraj mówiła tak długo z p. Borkiewiczem? Znasz go zaledwie od tygodnia... Ze mną nigdy tak nie rozmawiasz.

JÓZIA (zniecierpliwiona).

E, moja droga, nudna wkońcu jesteś... (śmieje się). Ach, już wiem, skąd ten zły humor. Jeszcze ci chodzi o twój prezent imieninowy? (Frania milczy). Żebyś się była mnie spytała! Nie daje się bukietów ze sztucznych kwiatów.

FRANIA (z ukrytą złością).

Te kwiaty (wzrokiem wskazała bukiet, przy którym stoi Józia) prędko więdną,—tamte zostają.

JÓZIA.

Pięknem jest tylko to, co żyje. Sztuczne kwiaty, sztuczne uczucia—nie mają wartości.

FRANIA (powtarza niemal bezwiednie, przygnębiona).

Sztuczne kwiaty... sztuczne uczucia... (po chwili zbliża się do klatki z kanarkiem i otwiera drzwiczki).

JÓZIA (zdziwiona).

Co ty robisz?

FRANIA.

Daję mu wolność. Mówiłaś, że ludzie i ptaki winni być wolni...

JÓZIA (podchodzi żywo).

Lecz on ma pewno podcięte skrzydła... Wyskoczył... (wychyla się). Został na gzymsie...

(Drzwiami od przedpokoju wszedł Stefan z wiązanką kwiatów w ręku; zostawia drzwi otwarte).

SCENA II.

FRANIA—JÓZIA—STEFAN.

STEFAN.

Dzień dobry paniom!

JÓZIA (odwraca się radośnie, zapominając na wi-

dok Stefana o kanarku i nawet o Frani, i spieszy ku niemu).

Ach, to pan!

(Witają się).

STEFAN.

Są wiadomości od Adama?

JÓZIA.

Telegrafował, że dziś przyjeżdża (spojrzała na zegar). Powinien być za pół godziny.

STEFAN.

Witam panią (wita się z Franią, która pozostał przy oknie). Więc panie nic jeszcze nie wiedzą?

JÓZIA.

Nic.

STEFAN.

Pragnąłem złożyć matce pani życzenia... i tych parę róż.

JÓZIA.

Mama za chwilę przyjdzie (odbiera kwiaty, z wdzięcznym uśmiechem). Ze pan pamiętał! (wącha). Jak pachną!

(Trzyma wiązankę kwiatów przy ustach).

STEFAN (żywo).

Niech pani zostanie tak... jeszcze sekundę...

JÓZIA (nie rozumie).

Co się stało?

STEFAN (przypatruje się okiem znawcy).

Żebym ja umiał malować! Albo chociaż foto-grafować!

JÓZIA (odejmuje róże z dąsem).

E... (zmiana tonu). Co pan robił dzisiaj?

STEFAN.

Chodziłem ze stryjem. Jacy w tern mieście ludzie smutni! Nie czuć wesela życia! Dzień taki radosny, słoneczny, a tu nawet dzieci nie umieją się śmiać! Jabym nie był wstanie żyć w takicm otoczeniu.

JÓZIA.

Jabym nie potrafiła żyć gdzieindziej.

(Stefan objął ją spojrzeniem, w którem tkwi pewna wymówka).

STEFAN.

I to ciągłe szarpanie nerwów, kłótnie i walki wszystkich ze wszystkimi, w gruncie rzeczy takie jałowe, małe!...

JÓZIA (z lekką ironią).

Panu wszystko u nas wydaje się małem (dyga) Przepraszam, żem nie urosła większa.

STEFAN (swawolnie).

Pani jest akurat na moją miarę.

JÓZIA (niby obrażona).

Bardzo proszę!

STEFAN.

Po za obowiązkami do spełnienia, człowiek powinien dbać o własne szczęście, usuwać, co stoi szczęściu na przeszkodzie...

FRANIA (oparta o framugę okna).

Usuwać?

STEFAN.

Tak. Ludzie nieszczęśliwi są najczęściej ludźmi nieużytecznymi (spojrzał na nią). Co pani jest?

FRANIA.

Mnie? Nic.

STEFAN (zbliżył się do niej).

Niech-no pani da rękę (bierze jej dłoń) O... trzeba zmierzyć temperaturę.

JÓZIA (zbliżyła się również).

Naprawdę ty jakoś dziwnie wyglądasz!

FRANIA.

Nic mi nie jest (z nieszczerym uśmiechem). Ja jestem właśnie taka... nieużyteczna. Ale są przeszkody, które usuwają się same, zanim zostaną odrzucone... Przepraszam.

(Wychodzi).

SCENA III.

STEFAN — JÓZIA.

STEFAN (goni wzrokiem wychodzącą Franię).

Bratowa pani jest silnie zdenerwowana. Ale kto w tym kraju ma zdrowe nerwy!

JÓZIA (z ironią coniebądź smutną).

Czemuż się pan tak przejmuje, skoro niebawem Paryż wróci mu umiłowany spokój. My już poniesiemy nasz krzyż dalej.

STEFAN.

Najgorsza, że ja sam tutaj utraciłem równowagę.

JÓZIA (przekornie, lecz bez żółci).

Są takie laleczki, których nie można przewrócić, bo mają w środku ukryty ciężarek.

STEFAN (z komiczną żałością).

Zgubiłem go.

JÓZIA (j. w.).

Biedaczek!

STEFAN.

Zakochałem się.

JÓZIA (traci swą pewność).

Trzeba to powiedzieć Matyldzie.

STEFAN.

Ja o niej wcale nie myślę.

JÓZIA (j. w.).

Muszę jednak zbadać, co jest Frani... Pan wybaczy...

(Chce iść).

STEFAN (zastępuje jej drogę).

Panno Józiu!

JÓZIA (zmieszana).

Zaraz wrócę.

STEFAN.

Ja czuję dobrze, że jestem śmieszny. Taki pan, co przyjeżdża zdaleka poślubić bogatą dziedziczkę..., której przedtem nigdy nie widział... Nie dziwiłbym się, gdyby pani żywiła dla mnie pogardę!

JÓZIA (łagodnie i razem poważnie).

Ja rozumiem, że dla kary ery naukowej tam, na wielkim świecie, majątek jest niezbędny.

STEFAN.

Pani jest dobra i szuka okoliczności łagodzących. Na szczęście, w człowieku tkwi instynkt, mocniejszy od kalkulacyi? t. zw. zdrowego rozsądku.

JÓZIA.

Na szczęście, zdrowy rozsądek wprędce odzyska swoją wagę i przekona, że instynkt był przelotnym kaprysem, chwilową fantazyą...

STEFAN (stanowczo).

Nie!

JÓZIA (przekornie).

Tak! Jeśli pan ma się ze mną kłócić, to lepiej Pójdę.

STEFAN (zastępuje jej drogę).

A ja za panią...

JÓZIA (śmieje się).

Pan się odemnie nie odczepi?

STEFAN.

Nigdy. Niech już tak będzie przez całe życie.

(Bierze jej rękę).

JÓZIA.

Właśnie! Dopóki za swoim Paryżem nie zatęskni!...

STEFAN.

Zabiorę panią. (Patrzy jej w oczy). Dobrze?

JÓZIA (wolno wysuwa rękę).

Ja tylko pod tern naszem szarem niebem żyć potrafię. Tu, gdzie grób ojca, gdzie matka wspomnieniem dawno minionych lat żyje, gdzie brat o lepszą dolę wTalki toczy...

STEFAN (sposępniał).

Te ich walki!

(W przedpokoju dzwonek, którego oni, zajęci rozmową, nie słyszą).

JÓZIA.

To nasze życie (po chwili, nieśmiało). Pan nie zostałby z nami?

STEFAN (strapiony).

Ja?...

SCENA IV.

CIŻ — WALERY A.

WALERYA (stanęła w drzwiach w głębi).

Józiu, ktoś dzwoni, a ja posłałam Antosię na dół. (Stefan podchodzi do niej żywo i wita się). Nie wiedziałam, że pan jest tutaj...

STEFAN (całuje ją w rękę).

Pani zechce przyjąć odemnie najlepsze życzenia...

JÓZIA (potrząsa kwiatami)

Te kwiaty od pana...

WALERYA.

Dziękuję (ponowny dzwonek w przedpokoju). Zobacz, kto dzwoni, a pan może przejdzie na chwilę do mnie...

(Józia idzie do przedpokoju, Stefan za panią Waleryą wychodzi drzwiami w głębi).

SCENA V.

JÓZIA — CIEŚLAK.

JÓZIA (za drzwiami wita się z Cieślakiem).

Dzień dobry panu!

(Wchodzi do pokoju, za nią Cieślak).

CIEŚLAK.

Dostałem depeszę od Adama. Na piątą wyznaczył nam konferencyę. Zawiadomiłem Ko-

rzyckiego i Zaworskiego... Panie maja, jakie bliższe wiadomości?

JÓZIA.

Wiemy tylko, że przyjeżdża.

CIEŚLAK.

Korzycki i Zaworski złoszczą się, że Adam wziął sprawę tak do serca.

JÓZIA.

Czyż mógł inaczej?... (objęła filuternym wzrokiem nowy, niezbyt zgrabny surdut Cieślaka). Jaki pan uroczysty!

CIEŚLAK.

Pani nic nie wie? Dostałem od wydawcy wielkie zamówienie,—i całkiem poważną zaliczkę. Robota na dwa lata. Niczem prawy burżuj —pobierać będę co miesiąc tyle i tyle... (z naciskiem, poglądając jej niespokojnie w oczy). Prawie, że mógłbym się ożenić...

JÓZIA (roztargniona).

Musi mi pan to szczegółowo opowiedzieć.

CIEŚLAK (skwapliwie).

Dobrze!

JÓZIA (przerywa).

Tylko nie teraz.

CIEŚLAK (zoryentował się, że jej myśli dalekie są od wszelkiej wspólnoty z jego myślami, stara się ukryć w zwykłym persyflażu doznany zawód).

Czy pani da wiarę, — ja zawsze miałem duże

szczęście do kobiet. Wszystkie miały do mnie zaufanie, chętnie brały mię za powiernika, nawet mię lubiły. Lecz jeśli której chciałem uczynić propozycyę bardziej seryo, żadna nie miała czasu. — Kochany panie, tylko nie teraz...

JÓZIA (śmieje się).

Przecież mnie pan nic nie proponuje!...

CIEŚLAK.

A gdybym właśnie miał do zrobienia... pewną propozycyę?

JÓZIA (daleka myślą).

Zgóry przyjęta.

CIEŚLAK (głębiej).

Naprawdę?

JÓZIA (uderzona jego tonem, zmieszała się trochę).

To jest... muszę jednak wiedzieć, o co idzie.

CIEŚLAK.

Już się pani boi! Czemu ja jestem taki brzydki, niezgrabny...

JÓZIA.

Pan teraz doszedł do przekonania, że wartość mężczyzny mierzy się jego urodą?

CIEŚLAK.

Wołałbym, żeby pani zaprzeczyła moim słowom i powiedziała: Pan wcale nie jest brzyd-

ki. Pan jest bardzo przystojny i nad wyraz zgrabny!

JÓZIA (śmieje się).

Jeśli pan chce...—Pan jest bardzo przystojny i nad wyraz zgrabny!

CIEŚLAK.

Niech pani powie szczerze, czy tak... od biedy... mógłbym się podobać?

JÓZIA.

Jaki pan zabawny z tą miną?

CIEŚLAK (posmutniał nagle).

Tylko zabawny?

JÓZIA (postrzega, że mu sprawiła przykrość, i poważnieje).

Pan wie, że ja pana bardzo lubię... mam dla pana dużo przyjaźni...

CIEŚLAK.

Taki piękny wyraz: przyjaźń, a bywa używany, jak opłatek do owinięcia bardzo gorzkiej pigułki.

JÓZIA.

Teraz ja nie rozumiem pana... (rozmyślnie zmienia rozmowę). Żeby się Adam tylko nie spóźnił, skoro ci panowie mają przyjść.

CIEŚLAK.

Muszą oni coś mieć w tej sprawie na sumieniu, skoro mnie wzywają na pomoc. A ja to wszystko uważam za pchnięcia szpady w wo-

dę. Szlachcic, u którego mój ojciec był ekonomem (spojrzał na Józię, która ani drgnęła, i z naciskiem powtarza), no... był ekonomem!

JÓZIA (z uśmiechem).

Pan lubi się tem chwalić.

CIEŚLAK.

Z panią najłagodniejszy człowiek nie wytrzyma! (całuje ją w rękę). Ów szlachcic miał stary dwór, który wciąż okazywał się zbyt ciasnym, że to brzuchy tej szlachty nieustannie pęcznieją. Więc co rok, albo co parę lat, przebudowywał, dobudowywał, aż wkońcu ze starego dworu zrobił się potworny zlepek, w którym, żeby wejść na pierwsze piętro, trzeba było naprzód zejść trzy piętra na dół; w żadnym pokoju nie było prostej ściany, a kuchnia znalazła się o wiorstę od jadalnego pokoju.

JÓZIA (śmieje się).

I cóż dalej?

CIEŚLAK.

Tak samo oni! Chcą przebudowywać! Równie pięknych doczekają się wyników... jeśli przedtem nie posną głodem (tonem łagodnej perswazyi). Naprzód burzyć, potem dopiero budować. Ja pani powiem: dopóki na każdej latarni nie zakołysze się przynajmniej jeden tłusty burżuj, na świecie będzie ciemno!

(Wchodzi Frania, nerwowa i niespokojna, wita się z Cieślakiem).

SCENA VI.

CIŻ — FRANIA.

JÓZIA (śmieje się).

Już pan zaczyna swoje! (do Frani). Szukasz czego?

FRANIA.

Tutaj został mój kałamarz.

JÓZIA (zdziwiona).

Chcesz pisać?

FRANIA.

Tak (podeszła do okna). Siedzi wciąż na framudze.

CIEŚLAK (zdumiony).

Kto siedzi na framudze?

FRANIA.

Kanarek.

CIEŚLAK (j. w.).

Co mu się stało?

JÓZIA.

Wypuściła go z klatki.

FRANIA.

Pan także mówił, że ludzie i ptacy powinni być wolni.

CIEŚLAK.

Tak.

FRANIA.

Ale ja myślałam, że on poleci zaraz do lasu.

CIEŚLAK (wygląda przez okno).

Pewno zapomniał fruwać.

JÓZIA.

Trzeba go wrócić do klatki. Niech go pan weźmie.

(Cieślak wychyla się, za nim Frania. Nagle oboje wydają okrzyk. Cieślak odwraca się od okna, bezwiednym ruchem zakrywając oczy. Frania wygięła się za okno w dół).

FRANIA.

Spadł... na kamienie!

JÓZIA (do Cieślaka).

Co panu jest? (Cieślak blady, nie może wymówić słowa. Józia biegnie do stolika, nalewa prędko wody z karafki i przynosi mu napełnioną szklankę). Niech pan się napije (Cieślak pije).

CIEŚLAK (przyciszonym głosem).

Rozbił się?

JÓZIA (serdecznie).

Ludzi chce pan mordować, a jeden mały ptak...

CIEŚLAK (j. w.).

To co innego...

FRANIA (od okna).

Nie rusza się.

JÓZIA.

Czekaj...

(Wybiega).

SCENA VIL

FRANIA—CIEŚLAK.

FRANIA (przylepiona do framugi okna)

Czasem wolność i śmierć, to jedno. Lecz być tym, który więzi, to- jeszcze gorzej. Prawda?

CIEŚLAK (również zatopiony w myślach).

Panna Józia dziś taka wesoła... Dlaczego?

FRANIA.

Ona się kocha (Cieślak drgnął). W tym... młodym panu Borkiewiczu... z Paryża...

CIEŚLAK (poruszony).

Kocha się? Niema tygodnia, jak się poznali!

FRANIA.

Jestem pewna. I on w niej... (gorzko). Będą szczęśliwi...

CIEŚLAK (głucho).

Będą szczęśliwi...

FRANIA.

Jedni ludzie są stworzeni dla szczęścia, a inni...

CIEŚLAK.

Innym nic się nie udaje. Trzynasty u stołu... nigdzie miejsca nie znajduje... Zawsze i wiecznie trzynasty!

FRANIA.

Czy można komuś... kochanemu... przeszkadzać do szczęścia?

CIEŚLAK.

Nie!

FRANIA (niemal boleśnie).

Pan także!

CIEŚLAK (z goryczą).

Ja pani powiem... Tacy ludzie, co nie umieją, nie są zdolni zdobyć dla siebie szczęścia... tacy ludzie nie są godni życia!

FRANIA (rozpaczliwie).

Więc cóż mają robić... tacy ludzie?

CIEŚLAK (j. w.).

Pójść precz... nie zawadzać innym!...

FRANIA (widocznie łamie się wewnętrznie z jakąś myślą).

W takim razie... w takim razie pójdę pisać...

CIEŚLAK (roztargniony).

Co pani będzie pisać?

FRANIA (zagadkowo).

Nie chcę zawadzać innym... nie chcę być łańcuchem, budzącym wstręt... i nienawiść...

(Chwila milczenia. Frania bierze kałamarz i wychodzi).

SCENA VIII.

CIEŚLAK—ADAM—MATYLDA—SŁUŻĄCA—
Później JÓZIA.

(Adam zjawia się w drzwiach od przedpokoju w paltocie i kapeluszu).

ADAM (przepuszcza Matyldę).

Niech pani będzie łaskawa... (Matylda wchodzi, za nią Adam i służąca, niosąca walizkę—do służącej). Zanieś do mego pokoju. (Postrzega Cieślaka) Dzień dobry... Sam jesteś?

CIEŚLAK (wita się z nim).

Panna Józia na chwilę wyszła (kłania się Matyldzie). Moje uszanowanie.

JÓZIA (wbiega żywo drzwiami w głębi).

Adam? Myśmy nic nie wiedziały!

(Ściska go).

ADAM (wskazując wzrokiem Matyldę).

Spotkałem pannę Matyldę przed domem.

JÓZIA (wita się z Matyldą).

Dzień dobry! (do Adama, niespokojnie). Cóż nowego?

ADAM (sili się na uśmiech).

Dużo złego... dla mnie. Panie wybaczą...

(Przechodzi do swego pokoju. Cieślak chce iść za nim).

JÓZIA (do Cieślaka).

Mama chciała się z panem przywitać...

CIEŚLAK (zatrzymał się).

Można pójść?

JÓZIA.

Naturalnie.

(Po chwili wahania Cieślak idzie drzwiami w głębi na prawo).

SCENA IX.

MATYLDA — JÓZIA.

MATYLDA.

Uważałaś, jak pan Adam źle wygląda?

JÓZIA.

Przy tych kłopotach... cała noc w wagonie....

MATYLDA.

Mam do ciebie prośbę.

JÓZIA (serdecznie).

Słucham.

MATYLDA.

Pragnę pomówić z twoim bratem... Parę chwil tylko...

JÓZIA (chłodniej).

Teraz będzie trudno.

MATYLDA (natarczywie).

Uczynisz mi wielką... wielką łaskę.

JÓZIA (zawahała się).

To zwróci uwagę.

MATYLDA.

Wszystko jedno (błagalnie). Nie odmawiaj!

JÓZIA.

Czy to tak nagłe?

MATYLDA.

Tak...

JÓZTA (po krótkim namyśle, idzie do drzwi pokoju Adama i uchyla je).

Matylda chce z tobą mówić.

ADAM (za drzwiami).

Zaraz...

MATYLDA (do Józi).

Nie mów tam, że przyszłam...

(Józia wychodzi drzwiami w głębi na prawo).

SCENA X.

MATYLDA — ADAM.

ADAM (wychodzi ze swego pokoju).

Jestem...

MATYLDA (zbliża się żywo do niego).

Pan nie jest chory?

ADAM.

Nie... Nerwy trochę podrażnione! Tak podrażnione, że — wstyd powiedzieć — walczyć muszę z chęcią odrzucenia tych wszystkich trosk i udręk, z tchórzowskiem pragnieniem ciszy i spokoju...

MATYLDA (porywczo).

Czemuż się tego wstydzić? To jest naturalny odruch ku szczęściu, do którego każdy ma prawo.

ADAM.

Pierwszem prawem jest obowiązek, który trzeba spełnić.

MATYLDA.

Całe życie takie byłoby męką, z każdym dniem uciążliwszą. Tam (gest na zewnątrz, w stronę okien) ciągła walka, nie bohaterska, nie w lśniącej zbroi, pod jasnem słońcem, niosąca świetne zwycięstwo lub zgon pełen chwały... Nie,— drobne potykanie się bez końca, szamotanie rąk spętanych, klęski, które nie zabijają, tryumfy, które nie dają sławy... Tu — (gestem wskazuje głąb mieszkania) życie szare, o zgaszonych namiętnościach,—niezadowolenie, sączące kwas do wszystkich zakamarków duszy, powolna trucizna, która nie uśmierca, lecz osłabia i pomniejsza. Czyż o takiem życiu śnił pan w młodzieńczych marzeniach?

ADAM.

Życie dalekiem jest od marzeń.

MATYLDA (bierze go za rękę i z rosnącem namiętnem uczuciem).

Ja panu niosę szczęście. Niech się pan nie broni. Ja wiem, że pan mię kocha. Na ustach

widzę słowa, które fałszywy wstyd trzyma na uwięzi.

ADAM (ciszej).

Tak.

MATYLDA (j. w.).

Wiedziałam o tem! Musiał mię pan pokochać. Takie uczucie, jak moje,—świeże, mocne, nieogarnięte, nie może zostać płonnem! (przymwą się do niego) Posłuchaj! Jesteś znużony! Przy mnie nowe siły znajdziesz. Jesteś znękany! Przy mnie ocknie się w tobie nowa, radosna odwaga do życia. Nawiążesz rzeczywistość do dawnych snów o szczęściu!

ADAM (bierze ją wpół, wpatrzony w jej oczy).

Ile pokusy w pani słowach, w pani oczach! Gore w nich słońce letniego poranku! Oprzeć się im trudno. Budzisz tęsknoty, zatajone głęboko. Uderzają z szumem gorącej krwi do skroni. Czy pani wie, ile mocy trzeba, by pokonać ten bunt, w którym dusza i ciało zrywają się ku upragnionym marzeniom?

MATYLDA (przytulona do niego).

Dziś wieczorem znikniemy im wszystkim z oczu. Pomkniemy w daleki świat. Ojciec przebaczy. Zanim rozwód uzyskasz, będziemy kryli nasze szczęście w cichem ustroniu, w cieniach gajów oliwnych, nad brzegiem lazurowego morza... (Adam czyni gest, który zda się mówić: nie dla mnie takie rozkosze). Nie lękaj się!

(z uśmiechem). Ja potrafię żyć pomarańczami! Ty wszędzie i zawsze dasz sobie radę. Będziesz pisał. Stworzysz arcydzieło, jakiegoś godzien. Powrócisz do literatury. Potem uczynisz, co zechcesz. Jeśli zapragniesz znów walki, pokocham ją. Jako żona, będę miała prawo dać cały majątek na cele, które umiłujesz. Uskutecznisz wszystkie zamiary. Zdobędziesz posłuch i władzę.

ADAM.

A ona?

(Wskazuje drzwi, wiodące w głąb mieszkania).

MATYLDA (bez ironii).

Mała duszyczka, pomartwi się, wypłacze, zapomni. Może zakocha się w jakim małym, jak ona, człowieczku i będzie szczęśliwą... Szczęśliwszą, niż z tobą. Bo tyś nie dla niej. Tyś dla mnie!

ADAM.

To szaleństwo!

MATYLDA.

Słuchaj serca, nie rozumu. Słuchaj instynktu Życia. Patrz! (odrywa pęk czerwonych gwoździków od boku). Ten czerwony kwiat w twej butonierce będzie oznaczał zgodę,—będzie przysięgą na nowe życie!

(Nagle zamilkła i położyła szybko na małym stoliku oderwane kwiaty, bo w drzwiach w głębi na prawo pojawia się Walerya).

SCENA XI.

CIŻ — WALERYA.

WALERYA (w drzwiach, serdecznie, bez cienią wymówki).

Ładnie, ładnie! Pan syn przyjeżdża i nie przychodzi wcale witać się ze starą matką. I to w dzień imienin!

ADAM (biegnie do niej i całuje w obie ręce).

Przepraszam!

MATYLDA (zbliża się żywo).

To moja wina, proszę pani. Zatrzymałam pana Adama... (całuje ją w rękę). Pozwoli pani i mnie złożyć życzenia.

WALERYA.

Dziękuję ci za piękne kwiaty (do Adama). Pan Cieślak mówił mi, że zaraz będziecie mieli posiedzenie.

ADAM.

Tak.

WALERYA (spojrzała mu w oczy).'

Powziąłeś decyzyę?

ADAM.

Tak (z uczuciem synowskiej skargi). Mam do spełnienia ciężki obowiązek, mamo!

WALERYA (tkliwie).

Życie byłoby nadto łatwem, gdyby nie na-

kładało trudnych obowiązków... Chciałam ci powiedzieć parę słów...

MATYLDA.

Ja pójdę do Józi...

WALERYA (skinęła jej życzliwie głową).

Idź... Zaraz tam przyjdziemy... (Matylda wychodzi). Czyś ty nie wyrządził jakiej przykrości Frani?

ADAM.

Nie widziałem jej wcale.

WALERYA.

Jest jakaś dziwna od kilku dni... Dziś więcej, niż zwykle. Józia, przechodząc koło jej pokoju, postrzegła, że piszę list, dusząc się od płaczu. Gdy zobaczyła Józię, starała się ukryć zarówno łzy, jak ów list.

ADAM.

Zaraz pójdę do niej...

(Chce iść, gdy w drzwiach od przedpokoju staje służąca).

SŁUŻĄCA.

Panowie przyszli... Pytają o pana.

ADAM (zatrzymał się, do matki).

Teraz nie mogę (do służącej). Proś... (całuje matkę w rękę). Niech mama rozporządzi, żeby nam nie przeszkadzano. I może mateczka przyśle Cieślaka.

(Walerya wychodzi).

r na]

SCENA XII.

ADAM—KORZYCKI—WIŃSKA—ZAWORSKI—
Później CIEŚLAK.

KORZYCKI (wchodzi pierwszy, za nim Wińska i Zaworski).

Czołem! (Powitanie). Stawiamy się na wezwanie Cieślaka.

ADAM.

Prosiłem go o to telegraficznie. Wróciłem przed chwila,, (wskazuje miejsca przy stole dużym, przysuwając krzesła). Niech pani raczy usiąść. Proszę...

(Siadają).

KORZYCKI (rozgląda się).

Powitano was owacyą kwiatową!...

ADAM.

Matka moja obchodzi dziś imieniny.

(Wchodzi Cieślak drzwiami w głębi).

KORZYCKI (wita się).

Jesteśmy w komplecie (Cieślak, przywitawszy się z Zaworskim i Wińską, siada). Wasza podróż przeciągnęła się dłużej, niż myśleliśmy. Cóż nam przywozicie?

ADAM.

Starałem się zbadać rzeczy najdokładniej. Wia-

domości, które przywożę, są złe. Zostaliśmy wprowadzeni w błąd.

(Poruszenie).

WIŃSKA (żywo).

Jak to rozumiecie?

ADAM.

Wyjaśnienie Krabego było ścisłe. Czerski wypłacił ze spadku Bilskiego osobie trzeciej sumę stu tysięcy rubli. Miałem w ręku dowody.

(Chwila milczenia).

ZAWORSKI.

Dlaczegóż sprawa ta otoczoną jest taką tajemnicą?

ADAM.

Osoba, dla której przeznaczony był ów kapitał, jest mężatką,—a raczej jej nieletnia córka. Mąż żyje. Ujawnienie nazwiska zapisodawcy mogłaby wywołać dramat rodzinny, którego ofiarą padłoby w pierwszym rzędzie dziecko. Nie mam prawa wyjaśnić, jak sobie poradził Czerski, by wywiązać się z nałożonego nań zadania. (Zwracasię do Zaworskiego z odcieniem głębokiego żalu). A wy, wy daliście mi tutaj rękę, że Czerski te pieniądze ukradł!

ZAWORSKI (zmieszany).

Informacye prezesa (gest w stronę Korzyckiego) były kategoryczne.

ADAM (porywczo).

Nie mówiliście wtedy, że wasze wiadomości były z drugiej ręki!

ZAWORSKi.

Byłem pewny ich prawdy.

ADAM.

Ta pewność okazała się zawodną i popełniliśmy... ja popełniłem nieuczciwość.

CIEŚLAK.

Gdzie jest dobra wiara, tam niema nieuczciwości.

ZAWORSKI.

Conajwyżej można posądzić nas o łatwowierność.

ADAM (stanowczo).

Nie. Skoro w grę wchodzi dobra wiara obywatela, łatwowierność staje się nieuczciwością.

WIŃSKA.

Nie zapominajcie, że tym „obywatelem" jest pan Czerski!...

ADAM.

To nie zmienia postaci rzeczy.

KORZYCKI (siu hał dotąd w milczeniu, głaszcząc piękną brodę).

Trzeba rozważyć rzecz spokojnie. Wyznaję, że jestem zaskoczony wynikiem badań waszych, panie Adamie. Zanim wyrobimy sobie zdanie, pozwólcie, że będę myślał głośno.

WIŃSKA.

Słuchamy.

KORZYCKI (po paru sekundach namysłu, do Adama).

Żal, któremu daliście wyraz w sposób dla nas tak dotkliwy, płynie z pobudek bardzo szlachetnych,... przynosi wam tylko zaszczyt. Jednakowoż Cieślak powiedział trafnie: działaliście... działaliśmy w dobrej wierze. Sumienie zatem jest czyste. To punkt pierwszy. (Zwraca się do Wińskiej). Uwaga pani niemniej jest trafną. Sprawa dotyczy Czerskiego, który w kampanii przeciwko nam nie wahał się nigdy przed najwstrętniejszemi praktykami.

ZAWORSKI.

Tak jest.

ADAM.

Ja czekam wniosku.

KORZYCKI (przyjacielsko).

Zaraz (ciągnie dalej). Sprawa mogłaby stać się dla nas niepomyślną, gdyby nie było owych (lekki uśmiech) romantycznych tajemnic! Teraz wiemy, dlaczego te lisy nie chciały sądu honorowego. Oni przecież nie będą mogli dowieść, czarno na białem, prawdy, a w takim stanie rzeczy ogół będzie zawsze podejrzewał coś nieczystego. Nie obawiajmy się: Czerski wyjdzie z tej afery z podciętemi skrzydłami.

(Krótkie milczenie).

ADAM (nagle uderzył lekko dłonią w stół i wyprostował się na krześle.

Jakto! I wy myślicie, że ja się na to zgodzę?

KORZYCKI (stropiony, obejrzał się na innych).

Przepraszam... o co wam chodzi?

ADAM.

Czyż pan sądzi, że ja, niesłusznie skrzywdziwszy człowieka, nie będę się starał tej krzywdy naprawić?

KORZYCKI (słodko kwaśny).

A to ma znaczyć?

ADAM.

Przekonałem się, że moje oskarżenie było błędne. Więc je odwołam. Mało tego. Moim obowiązkiem jest przeprosić publicznie człowieka, któremu wyrządziłem ciężką krzywdę.

KORZYCKI.

Aby Czerski i jego przyjaciele z tryumfem obwieścili: Patrz, narodzie, co to za ludzie, ten Korzycki, Węgielski, Zaworski! Jakiej broni się imają! Jak nieobliczalną jest ich lekkomyślność (smętnie). W tych wypadkach, moi drodzy, opinia jest, jak wiatr. Może zmienić odrazu kierunek przeciw nam, tembardziej, że nasi wrogowie z pewnością umieliby wyzyskać położenie (z łagodną perswazyą). Wybaczcie, ale ustami waszemi przemawia ego-

izm, który... choć źródła jego godne są uznania, tem niemniej jest uczuciem samolubnem. Interes partyi musi stać powyżej interesu jednostki, nawet gdyby ten interes był natury moralnej (do Cieślaka, ze słodką insynuacyą). Wy dotąd nie wypowiedzieliście się...

CIEŚLAK (po chwili namysłu).

Sprawa sympatyczną mi nie jest. Lecz by usunąć precz tych, co stoją na przeszkodzie lepszej przyszłości, nie można stroić się w rękawiczki.

ZAWORSKI (twardo).

Nie dla nas jest taktyka tych szlachciców, co na placu boju zgrywali komedyę rycerską:— Panowie anglicy, strzelajcie pierwsi!

WIŃSKA (z ukrytą złośliwością).

I kiedy bogate dziedziczki nagradzały swych bohaterów miłością i wianem!

ADAM (spokojnie, lecz mocno).

Nie. Lecz nawet w najzawziętszej walce można zostać uczciwym. Staroszlacheckie przesądy? A czyż można odrzucić przeszłość, jak znoszone ubranie? (smutniej). Ja nie mam tej mocy rośnięcia z siebie, którą w was podziwiam!

ZAWORSKI (j. w.).

Trzeba kochać swój czyn, choćby nie wart był kochania!

(Chwila milczenia).

KORZYCKI (do Adama, z łagodną perswazyą).

Wobec tej jednozgodności zdań nie będziecie się upierali przy waszem postanowieniu.

ADAM (twardziej).

Będę. Muszę postąpić tak, jak mi nakazuje sumienie.

ZAWORSKI (porywczo).

To byłoby zerwaniem solidarności, która nas obowiązuje.

WIŃSKA.

O ile można rozumieć, pan Węgielski solidaryzuje się z Czerskim i jego kompanami.

ADAM.

Insynuacye pani nie wpłyną na moją decyzyę. Pozostanę wierny hasłom, za które walczyliśmy wspólnie, lecz pozostanę również wierny samemu sobie.

WIŃSKA (wstała, gwałtownie). ;

Łatwo zgadnąć, dokąd taka wierność prowadzi! (do Korzyckiego i Zaworskiego). Zdaje mi się, że my tu już nie mamy co robić.

KORZYCKI.

Proszę państwa o spokój... (do Wińskiej). Siadajcie. (Wińska nie siada, lecz staje za krzesłem Korzyckiego). Musimy brać w rachubę skrupuły pana Węgielskiego, aczkolwiek pierwiastek uczuciowy, który w nich tkwi, w toku walki

byłby nieobliczalną w skutkach słabością. Możebyśmy więc poszukali jakiegoś kompromisu, który by uwzględnił drażliwość pana Węgielskiego, nie czyniąc nam szczerby... Naprzykład... moglibyście wyjechać na tydzień... na dwa tygodnie..., a mybyśmy już tę sprawę zlikwidowali, my (gest w stronę Zaworskiego), co jesteśmy twardszej natury. Ostatecznie nawet zgodziłbym się przyznać, że owa suma została przez Czerskiego wypłaconą osobie trzeciej — wy będziecie w ten sposób w porządku — a przytem można oświetlić rzecz tak... (gest i uśmiech), że wszystko będzie dobrze. To chyba powinno was zadowolić?

ADAM.

Gdybym się na to zgodził, popełniłbym czyn obmierzły.

KORZYCKT (wstaje porywczo, bardzo dotknięty).

Co pan powiedział?

ADAM.

Tak jest, obmierzły, bo jeśli popełnia się niegodziwość, trzeba mieć conajmniej odwagę przyjęcia za nią odpowiedzialności.

(Chwila milczenia).

KORZYCKI (trochę patetycznie).

Nie spodziewałem się, by taki zarzut mógł spotkać mnie, com życie całe poświęcił służbie publicznej. Pozwól pan sobie powiedzieć,

panie Węgielski: Drogi nasze istotnie się rozchodzą. Wasz akt skruchy będzie działaniem na szkodę stronnictwa. Czy zdajecie sobie sprawę z następstw, płynących stąd dla was?

ADAM (gwałtownie).

A wy czyż myślicie, że mnie łatwo było zdobyć się na to postanowienie? Od trzech dni nie zmrużyłem oka. Stoczyłem z sobą walkę, stokroć cięższą, niż ta, którą teraz z wam wiodę. Tak, jak postanowiłem, postąpić mu szę.

KORZYCKI (w tonie pogróżki).

Chcesz zerwać z nami?

ADAM.

Ja—nie.
(Zaworski, który wstał również, staje wraz z Wińską obok Korzyckiego. Adam z drugiej strony stołu, naprzeciw nich. Opodal, pośrodku, bliżej jednak grupy Korzyckiego, stoi milczący i posępny Cieślak).

ZAWORSKI (wyzywająco).

Wasze postanowienie stanowi akt zerwania!

WIŃSKA (gwałtownie).

Ja nigdy nie wierzyłam w waszą szczerość. Wy z krwi i ducha zawsze należeliście do nich! (gest).

ADAM (spokojnie i mocno).

Daremnie pani usiłuje wyprowadzić mię z równowagi.

KORZYCKI.

Nie spodziewałem się... Nie spodziewałem. Może pożałujecie tego kroku... (obejrzał się na Zaworskiego i Wińską). Cóż? Pójdziemy?

WIŃSKA.

Ustąpmy miejsca pp. Krabemu... Czerskiemu... (Korzycki idzie ku drzwiom, lekko skinąwszy głową Adamowi. Za nim idą, nie patrząc już na Adama, Zaworski i Wińska. Po chwili wahania, Cieślak także rusza ku drzwiom).

ADAM (ciszej).

I ty?...

(Cieślak, już blizko drzwi, odwrócił się w s<ronę Adama, nie widząc jednak Józi i Stefana, którzy stanęli w drzwiach w głębi).

CIEŚLAK (z gestem głębokiego zniechęcenia).

Ja tu wogóle nie mam co robić... Wszyscy jesteście jednakowi burżuje... i ty, i oni... (miękcej). Nie myśl, żebym miał przez to dla ciebie mniej szacunku... (postąpił ku Adamowi i wyciąga doń rękę). Bywaj zdrów, stary! (Adam ściska wzruszony jego dł m, Cieślak postrzega w tej chwili Józię, która się do nich zbliża).

JÓZIA.

Opuszcza pan nas?

CIEŚLAK.

Tak (do Adama). Może chcesz robotę? Odstąpię ci układ, który zrobiłem z wydawcą. On zgodzi się z rozkoszą na zamianę.

ADAM.

A ty?

CIEŚLAK.

Pójdę w świat... Cygańska krew zagrała. (Do Józi). Żegnam panią.

JÓZIA (patrzy mu w oczy, ciepło).

Do widzenia!

CIEŚLAK (składa na jej ręce długi pocałunek).

Nie... (spojrzeniem objął Stefana, który zbliżył się do Adama i z nim rozmawia żywo, i powraca do dawnego tonu persyflażu). Widzi pani, i ja doczekałem się wrażeń, jakich doznają kapitaliści. Ja—nędzarz, ja—głodomór z powołania, zbankrutowałem... Niczem jakiś bankier lub właściciel kinematografu! Moje wszystkie marzenia, które taiłem w głębi duszy, nagle... fiut! prysnęły! Niewypłacalność! (poważniejąc). Ja pragnę, by pani była szczęśliwą. Lecz patrzeć na szczęście pani z innym... to już nad moje siły. Jestem mały człowiek... sam to czuje...

JÓZIA (ogarnęła go wzrokiem, pełnym współczucia, nagle).

Niech pan weźmie na pamiątkę te kwiaty...

(Wzięła z małego stołu czerwone kwiaty, które rzuciła przedtem Matylda, i podaję mu je).

ADAM (postrzegł ów ruch i żywo).

Tych kwiatów nie można...

(Odbiera jej gwoździki i zatrzymuje w ręku).

JÓZIA (zdziwiona).

Nie wiedziałam... (bierze z bukietu parę róż i podaję je Cieślakowi). Proszę... (Cieślak bierze i całuje ją ponownie w rękę).

SCENA XIII.

ADAM—JÓZIA—CIEŚLAK—FRANIA—STEFAN—
Później MATYLDA.

FRANIA (w kapeluszu, z parasolką, w ręku trzyma list, zmieszała się, postrzegając męża i jego siostrę).

Przepraszam... (idzie szybko w stronę przedpokoju).

JÓZIA.

Wychodzisz na miasto?

FRANIA.

Tak...

CIEŚLAK (niespodzianie).

Gdzie pani idzie?

FRANIA (zaskoczona).

Ja?...

CIEŚLAK.

Chce pani wysłać list?

FRANIA (j. w.).

Tak...

CIEŚLAK (nerwowo, do Józi).

Niech pani zobaczy, do kogo... (Józia nie rozu-

mie, zdziwiona). Niech pani zobaczy... (z naciskiem) koniecznie!

(Józia zwraca się do Frani, jakgdyby chciata od niej wyjaśnienia).

FRANIA (gwałtownie).

Nie... nie... ja muszę iść...

(Chce wyjść, lecz Cieślak stanął na drodze).

JÓZIA (nagle w mózgu błysnęła jej ta sama myśl, która zaniepokoiła Cieślaka).

Franiu! Do kogo ten list?

FRANIA (w najwyższym stopniu zmieszana, chce przejść).

Proszę mię puścić... Ja muszę iść...

(Józia wyrywa jej list. Frania krzyknęła rozpaczliwie).

JÓZIA (spojrzała szybko na kopertę, którą Frania usiłuje jej odebrać).

Do Adama?...

FRANIA (błagalnie).

Oddaj mi!... Proszę cię...

ADAM (zdumiony).

Do mnie? Daj...

FRANIA (rzuca się między nich).

Nie... nie...

(Wchodzi Matylda, przez nich niewidziana i zaskoczona gwałtowną sceną, zatrzymuje się u drzwi).

ADAM (stanowczo).

Jeśli adresowany do mnie, mam do niego prawo.

(Odbiera list z ręki Józi, której teraz już żal Frani i nie wie, kogo słuchać).

FRANIA (w bezradnej rozpaczy),

Ja nie chcę... oddaj!

ADAM (rozerwał koportę i czyta).

„Nie chcę ci być przeszkodą do szczęścia. Kochałam cię, jak nikt nigdy kochać cię nie będzie. Jeśli odnajdą moje zwłoki, proszę cię, każ je pochować tam, gdzie leży nasze dziecko...“ (do Frań;). Szalona! Tyś chciała... (bierze jej rękę, zdjętv gtębokiem wzruszeniem. Józia i Cieślak odsuwają się cukolwiek).

FRANIA (w łzach).

Ja nie chcę, byś przezemnie czuł się nieszczęśliwym... Wolę wszystko... wolę śmierć... Bez ciebie żyć nie mogłabym!

ADAM (z serdecznem i razem smutnem współczuciem).

Szalona! Coś ty chciała uczynić!

JÓZTA (postrzega Matyldę).

Matylda! Nie widzieliśmy cię wcale...

(Postępuje ku niej).

MATYLDA (zdławionym głosem).

Przepraszam... może przeszkadzam?

(Cieślak, po chwili wahania, decyduje się i wychodzi dyskretnie).

FRANIA (przerażona obecnością Matyldy, błagalnie do Adana),

Ani słowa... zaklinam cię!

(Chwila kłopotliwego milczenia).

ADAM (smutny, lecz zdecydowany, oddaje Frani kwiaty, które położył przed chwilą na stole).

Weź te kwiaty. Pani (wskazał na Maty dę) zostawiła je dla ciebie.

(Frania bierze kwiaty, obejmując równocześnie Matyldę nieufnem i nierozumiejącem spojrzeniem).

FRANIA.

Pani?... Dziękuję.

ADAM.

I przyrzeknij, że nigdy nie dasz posłuchu takim myślom... jak ja nigdy wobec ciebie nie złamię wiary...

FRANIA (ze spuszczoną głową, cicho).

Przyrzekam.

ADAM (do Matyldy, ciszej).

Trąbka ozwala się — w drogę, żołnierzu, w ostatniem spojrzeniu złóż swoje tęsknoty i pragnienia,—i naprzód, marsz...

MATYLDA.

A księżniczka... przy ogrodowej furcie...

(Wybucha krótkim, histerycznym śmiechem).

JÓZIA (do Matyldy, niespokojnie).

Co ci jest?

MATYLDA (nagle urwała śmiech).

Nic...

(Wchodzą: Walerya, Krabe, Borkiewicz, Stefan).

SCENA XIV.

WALERYA (objęła wzrokiem Józię, Adama, Franię, Matyldę i odczuła, że dzieje się coś niezwykłego).

Czy się co stało?

JÓZIA (żywo).

Nie... nic...

WALERYA (spojrzała ku drzwiom do pokoje. Adama).

A tamci panowie.

ADAM.

Poszli.

(trabe i Borkiewicz zbliżają się do Adama).

Jutro umieszczę artykuł, w którym odwołam moje zarzuty i przeproszę pana Czerskiego za niesłuszne oskarżenie.

BORIEWICZ (bierze go za rękę).

Pan nie mógł przeniewierzyć się prawdzie.

Byłem tego pewny (radośnie do pani Waleryi). Wiedziałem, że tak zrobi... Wiedziałem...

(Całuje ją w rękę, jakgdyby jej należało się podziękowanie).

ADAM (do matki).

I będzie to zarazem mój ostatni artykuł...

(Poczyna zapadać powolny zmierzch).

WALERYA.

Zerwałeś z nimi?

ADAM.

Oni ze mną.

KRABE (serdecznie).

Niech pan złączy się z nami. Jednej sprawy bronimy, jeden cel przecież mamy...

ADAM (przerywa w silnem podnieceniu).

Ach tak! Znalazłaby się i nagroda! Słowa pańskie, panie Krabe, są boleśniejsze, niż to, co spotkało mię od mych towarzyszów. I gdyby postanowienie moje nie było nieodwołalnem, mogłoby nieco zachwiać. Dlatego, żem nie chciał popełnić czynu, niezgodnego z mem sumieniem, moja wiara, moje ideały nie warte nic? Mam odrzucić je, jak krawat, który przestał się podobać? Nie, panie Krabe. Będę dla tych samych idei pracował i walczył, chociaż zostałem sam!

STEFAN (zbliżył się do niego żywo i ściska za rękę).

Jutro będzie nas więcej.

BORKIEWICZ (zdumiony).

Jakto? Ty...

JÓZIA (radośnie).

Pan zostaje?

STEFAN.

Tak!

BORKIEWICZ (ściska Stefana).

Drogi mój!

KRABE.

Cieszysz się, że będzie z nami walczył?

BORKIEWICZ.

Cieszę się, że będzie z nami pracował!

(Wraca rozradowany do pani Waleryi, która usiadła na krześle przy fortepianie).

MATYLDA (zwiesza się na ramieniu Krabego).

Ojcze! Chodźmy...

KRABE (objął spojrzeniem Stefana i Józię, żywo rozmawiających, smutnie).

Zostaliśmy sami!...

(Adam usiadł gdzieś w kącie sam, również sama siedzi, zdała od niego, Frania. Krabe stoi, trzymając córkę wpół, gotując się do wyjścia. Tylko Józia i Stefan rozmawiają z sobą cicho i radośnie).

BORKIEWICZ (do Waleryi).

Dlaczego tu jest tak ciemno?... Czy to już noc?...

WALERYA.

Zmrok zapada... Nasza szara godzina...

BORKIEWICZ.

Nie widzę pani... (szukając jej ręki, uderza w klawisz fortepianu)... nie widzę nikogo... Każde silniejsze wzruszenie tak działa... Jutro może już nie ujrzę jasnego słońca... (po chwili). Moje pragnienia ziściły się... Stefan będzie służył swoim... I odrazu zbiera się do walki... jak my kiedyś... w ową mroźną noc... Niech pani przypomni tę piosenkę... Pamięta pani?... Oni... (gest w stronę Stefana) też idą na bój...

WALERYA (poprawiła się na krześle, uderzyła w klawiaturę i półgłosem śpiewa:

«Bywaj dziewczę zdrowe,
Ojczyzna mię wola,
Idę za kraj walczyć,
Wśród rodaków koła...

(Wszyscy słuchają z pewnem zdziwieniem, bez ruchu. Nagle Frania wybucha spazmatycznym płaczem i wybiega).

KRABE.

Co się stało?

JÓZIA.

Nic... nic...

(Idzie za Franią).

WALERYA (śpiewa dalej).

I choć przyjdzie ścigać,
Jak najdalej wroga,
Nigdy nie zapomnę,
Jak mi jesteś droga.

(Zasłona spada).

KONIEC.

OSTATNIE WYDAWNICTWA

TOW. AKC. S. ORGELBRANDA SYNÓW

W WARSZAWIE.

Benson E. F. *Obraz na piaskach.* Powieść, przekład z angielskiego *Hajoty*.......... 1.50

Crawford Marion. *Róża wczorajsza.* Powieść. Przekład z angielskiego. *H. J. P*.......... —.90

Gomulicki Wiktor. *Dobosz z pod Eylau,* obraz dramatyczny w trzech częściach. Okładkę i rysunki wykonał *S. Sawiczewski*.......... 1.—

— *Kłosy z Polskiej Niwy.* Z 17 ilustracyami . . 2.—

— *Opowiadania o Starej Warszawie.* Wyd. nowe uzupełnione, z liczn. ilustr. na oddz. plansz. 2 tomy. 3.60

Handelstnan Marceli. *Pod znakiem Napoleona.* Studya historyczne. Serya druga.......... 2.20

Konczyński Tadeusz. *Ginąca Jerozolima.* Szkice powieściowe 1.60

— *Królewna Lilijka.* Baśń dramatyczna . . . 1.—

— *Ostatnia godzina.* Powieść fantastyczna . .1.60

— *Pani Bella.* Komedya w 4 aktach . . . . 1.—

Lorentowicz Jan. *Młoda Polska.* III. . . .1.20

Muszkowski J. M. *Sumienie Ruchu.* Szkice literackie. 1.20

Perzyński Włodzimierz. *Sławny Człowiek.* Powieść. Wyd. II-gie.......... 1.50

Rachilde. *Bestya.* Powieść. Tłomaczył *J. L.* . . 1.50

Skibiński Kazimierz. *Pamiętnik aktora (1786—1858)* opracował i wydał *M. Rulikowski.* Z portretem autora 2.25

Srokowski Mieczysław. *Krew.* Wydanie II-gie. . .1.20

Tetmajer-Przerwa Kazimierz. *Koniec Epopei. 3 tomy* 5.50

Tom I . . 2.50
„ II . . 1.50
„ III . . 1.50

TopassJan. *Szlakami dusz twórczych.* Sylwety i szkice 1.50

Witkowski Stanisław. *Wrażenia Południa.* (Grecya.—Sycylia.—Hiszpania. Z Maroko). Z 56 ilustracyami. 1.80

Wroczyński Kazimierz. *Bengalskie Ognie.* Nowellety-Fraszki.......... 1.20

Zapolska Gabryela. *Modlitwa Pańska.* Z ilustracyami *St. Sawiczewskiego*.......... 1.—